MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 51. WARSZAWA, 2 GRUDNIA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

TYSIĄCLETNIE OPÓŹNIENIE

„Jak tedy okazują dzieje Polski, naród ten dążył do zaprowadzenia rządu, do utworzenia społeczeństwa, polegającego na wewnętrznym popędzie i dobrowolności".

Adam Mickiewicz: „Literatura Słowiańska" r. III, lekcja XXV.

USTALONYM zwyczajem świętowano przed kilku dniami szesnastą już rocznicę oswobodzenia Lwowa. Urzędowo obchodzi się dzisiaj pamiątkę czynów, które dokonywały się w sposób zupełnie nie urzędowy. Bo walka o Lwów była przedsięwzięciem, w całem słowa znaczeniu—nieoficjalnem: wszak toczyli ją wyłącznie ochotnicy, częstokroć w cywilnym nawet ubiorze, założywszy tylko na palto lub marynarkę pas z ładownicami i zatknąwszy za tymże pasem kilka ręcznych granatów.

Było to coś najdalszego od ducha koszar, typowe „pospolite ruszenie". Ale każda rodzina lwowska, gdzie jak syna pielęgnowano pierwszego lepszego z rannych, stawała się, jakże nieurzędowym w swej troskliwości, dobrowolnie utworzonym i działającym — lazaretem wojskowej służby zdrowia. Każdy dom, z którego wygłodzeni mieszkańcy nieśli żołnierzom ostatek od ust sobie odjętego pożywienia, przeistaczał się w najlepszy, jeżeli chodzi o akuratność, niezawodny w pełnieniu swoich obowiązków — urząd zaopatrywania armji.

Tenże duch „pospolitego ruszenia", owej służby obywatelskiej i bez przymusu, stworzył wszystko, co nosi znamię wielkości w naszych dziejach ostatnich lat kilkunastu: sprawne zorganizowanie władz państwowych wśród powojennego zamętu, Cud Wisły, odzyskanie Wielkopolski, Śląska, Wileńszczyzny, uzdrowienie skarbu i pieniądza zimą r. 1923 — 24.

O tych bliskich, konkretnych doświadczeniach myśli się zazwyczaj niewiele, głosząc połapane tu i ówdzie teoryjki o „państwie autorytatywnem", albo bardziej jeszcze prymitywne twierdzenia o pożytku „trzymania" społeczeństwa „za twarz". A już najmniej pamięta się o tem, że ujawniony podówczas duch zbiorowy, był niczem innem, jak pozostałem w psychice narodowej dziedzictwem dawnej Polski i jej rządności, opierającej się na „wewnętrznym popędzie" i tradycji dobrowolnej służby obywatela.

Jest dziś bowiem nader rozpowszechnione przekonanie, że ustrój państwa ma tak u nas wychowywać społeczeństwo, aby Polak miał jaknajmniej w sobie z Polaka. Zwłaszcza dla przedstawicieli pokolenia, wykształconego na Bobrzyńskim i „szkole krakowskiej", pierwszem zadaniem wydaje się „zerwanie z przeszłością", i wystarczy nazwać coś „kontynuacją dawnej Rzeczypospolitej", ażeby w oczach ich potępić to w sposób ostateczny i bezwzględny. W imię jednostronnej doktryny historycznej, wytworzonej w nienormalnych warunkach psychicznych niewoli, zamyka się oczy na te rzeczywiste wartości i siły, dzięki którym naród zdołał przetrwać rozbiory i odzyskać niepodległy byt państwowy.

Wytworzył się paradoksalny stan rzeczy. Obmyśla się zasady ustroju państwowego i postępuje w praktyce w taki sposób, jakgdyby z jakiejś bezkształtnej masy miano przemocą formować nowe jakieś społeczeństwo, jakgdyby Polska teraz dopiero miała rozpoczynać swoje dzieje. Nie dziw,

że naród czuje się w tem nieswojo, że twórczość jego jest przygaszona. Czas już zakończyć z tem opóźnianiem się, w ocenie sytuacji, o tysiąclecie, z tem przeświadczeniem, że żyjemy jakby w czasach Mieszka lub Chrobrego, i że Polska jest wciąż jeszcze w okresie niemowlęctwa. Czas zawstydzić się tych aroganckich uroszczeń, że się jest Budowniczym Narodu, bowiem Naród już jest i rośnie z siebie, a zechcieć — skromniej — stać się budowniczym dla Narodu, nadawać mu takie formy życia i urządzeń państwowych, ażeby w nich czuł się najbezpieczniej i najswobodniej, mógł w całej pełni rozwinąć i ujawnić wszystkie swoje możliwości twórcze.

Budownictwo wymaga liczenia się z naturą budulca i tylko w zgodzie z nią, a nie wbrew jej warunkom przyrodzonym, architekt wznosi dzieła wartościowe i trwałe. Materjałem przy budowie państwa polskiego są Polacy, z ich przez stulecia kształtowanemi instynktami i pojęciami, i ten materjał, przygotowany i zgromadzony pracą wieków, rozstrzygać musi o stylu i charakterze budowli.

JAN REMBIELIŃSKI

O „SENS HISTORJI"

EUROPA, a raczej cały świat kulturalny, przeżywa dziś kryzys, który rozciągnął się na wszystkie dziedziny życia. Następują doniosłe przemiany w dziedzinie przedewszystkiem duchowej. Powstają nowe światopoglądy, dając początek innemu stosunkowi do życia. W związku z tym rodzą się próby syntetycznego ujęcia tych przemian. Widoczne jest rozbudzenie się i odrodzenie myśli religijnej. Wracamy do Św. Augustyna i do Św. Tomasza. Śród współczesnych myślicieli religijnych niewątpliwie jednym z najbardziej interesujących jest Mikołaj Bierdiajew, autor szeregu dzieł, jak „Nowe Średniowiecze" najbardziej u nas znane, chociaż nietłumaczone, „Filozofja nierówności", „Filozofja swobodnego ducha", „Człowiek i maszyna", „Światopogląd Dostojewskiego", „Przeznaczenie człowieka", „Chrześcijaństwo i rzeczywistość społeczna", „Leontiew" i wreszcie „Sens historji", którego tezy rozpatrzymy w niniejszym artykule.

*

Bierdiajew w „Sensie historji" głosi pogląd, że źródłem rozwoju dziejowego jest Bóg, działający przez człowieka. W historji występuje Jego działanie i realizują się Jego cele. Człowiek, dopóki wyczuwa nad sobą istnienie pierwiastka Boskiego, chociażby miał o Bogu samym pojęcie nader prymitywne, będzie działać w sposób twórczy, realizując Dobro i Prawdę. Z chwilą natomiast przesunięcia punktu ciężkości z pierwiastka nadprzyrodzonego na pierwiastek przyrodzony, rozpoczyna się rozkład form, wypracowanych uprzednio przy udziale Boskiego pierwiastka, form, utrzymujących układy historyczne w równowadze. Znajduje to wyraz w t. zw. „epokach oświecenia". Taką epokę miała kultura grecka, taką miała w XVIII w. kultura chrześcijańska.

„Cechy okresu sofistów, okresu, który był swego rodzaju rozkwitem greckiej kultury, odznaczały się takiemi samemi właściwościami, jak te, które charakteryzowały epokę „oświecenia" w XVIII wieku"—mówi Bierdiajew—„chociaż tam (w Grecji) były specyficznie helleńskie rysy".

„W zasadzie" — kontynuuje Bierdiajew — „epoka „oświecenia" kultury greckiej niszczyła pierwiastki nadprzyrodzone w dziejach, organicznie-tradycyjne, rozbijała podania historyczne, tak samo jak to robiła epoka oświecenia w XVIII w. i jak to robi każda epoka „oświecenia"".

„Epoka „oświecenia" jest to taki okres w życiu każdego narodu, kiedy ograniczony i pełen przesadnej wiary w siebie, umysł ludzki stawia się wyżej od tajemnic bytu, tajemnic życia, tych Boskich tajemnic życia, z których, jako ze źródeł, wypływa cała ludzka kultura i życie wszystkich narodów świata".

Historja w tem ujęciu staje się mistycznem łączeniem człowieka z Bogiem. W podstawach jej leży mit, tajemnica, której umysł ludzki bez wiary nie zgłębi. „Historja" — mówi Bierdiajew — „nie jest czemś danem objektywnie i empirycznie, historja jest mitem. Mit, ze swej strony, to nie wymysł, a realność, ale realność innego rodzaju, aniżeli realność t. zw. objektywnej, empirycznej rzeczywistości. Mit jest opowiadaniem, przechowanem w pamięci narodu o zdarzeniu, które miało miejsce w przeszłości. Przechodzi ono granice zewnętrznej, objektywnej rzeczywistości i odkrywa nam podmiotowo-przedmiotową rzeczywistość idealną. Mitologja, według głębokiej nauki Schellinga, jest pierwotną historja ludzkości".

I dzisiaj spotykamy się z mitologją, z rzeczywistością legendarną. Mamy mity o Średniowieczu, Reformacji, Renesansie, mamy mit Wielkiej Rewolucji francuskiej i t. d.

Schelling rzucił myśl, że chrześcijaństwo jest w najwyższym stopniu historyczem, gdyż jest ono objawieniem Boga w historji. Bierdiajew tę myśl rozwija i uzasadnia, mówiąc: „Między chrześcijaństwem i historją istnieje taki związek, jaki nie istnieje żadną inną religją, ani żadną inną duchową siłą świata. Chrześcijaństwo dało historji dynamizm, wyjątkową siłę ruchu dziejowego i stworzyło możliwość powstania filozofji dziejów... Chrześcijański dynamizm wynikał z jego idei jednokrotności i niepowtarzalności wypadków dziejowych, co było obce światu antycznemu. Tam panowała idea wielokrotności i powtarzalności zdarzeń, idea, która uniemożliwiała przyjęcie historji. Tymczasem świadomość chrześcijańska dała historycznej rzeczywistości jednokrotność, niepowtarzalność i pojedyńczość, związane z tem, że dla chrześcijaństwa w centrum procesu dziejowego tkwi fakt, który miał miejsce raz, fakt pojedyńczy, niepowtarzalny, jedyny, nieporównany, wyłączny fakt, który był niegdyś i nie będzie więcej, fakt historyczny i zarazem metafizyczny, a więc sięgający głębi życia, fakt zjawienia się Chrystusa. Historja jest stawaniem się, mającem wewnętrz-

ny sens, jest pewnem misterjum, mającem początek i koniec, mającem określone centrum i stanowiącem szereg ściśle związanych zdarzeń. Historja biegnie do faktu zjawienia się Chrystusa i biegnie od faktu zjawienia się Chrystusa. Tem określa się najgłębszy dynamizm historji". Bierdiajew dowodzi, że w tem tkwi i jej najgłębszy tragizm. W historji bowiem świata zachodzą dwa momenty: Bóg objawia się człowiekowi i człowiek objawia się Bogu. W tem podwójnem objawieniu tkwi największy tragizm, bo Bóg oczekuje swobodnego wyboru człowieka, który, wybierając Go, niejako mu się objawia. I dzięki swobodnemu wyborowi, dzięki walce dobra i zła, proces historyczny jest taki krwawy, skutkiem tego w centrum procesu dziejowego znajduje się najwyższe cierpienie Boga — krzyż, śmierć męczeńską Syna Bożego dla odkupienia świata. Historja świata, to wielki dramat miłości i swobody. W tej miłości i swobodzie tkwi cały irracjonalizm i cała zagadka historji świata.

„Procesy światowe i procesy dziejowe istnieją dlatego, że w ich podstawie tkwi swoboda dobra i zła, swoboda oderwania się od źródeł wyższego, boskiego życia, swoboda nawrócenia się i przyjścia do nich z powrotem. Ta swoboda zła jest prawdziwą podstawą historji". Podstawą dziejów jest pierwiastek religijny. Szukanie Boga—oto treść procesu dziejowego.

*

Dynamizm historji tkwi tedy w połączeniu idei nieba z dziejami człowieka. Niebo tworzy najgłębszą cząstkę naszego życia duchowego. W tej głębi jest Bóg. Historja czerpie swoje momenty dynamiczne z głębi ducha ludzkiego, a więc z Boga. Ale Boga może nie być w głębi ducha. Decydujący jest tutaj stosunek człowieka do Boga. Stosunek ten może negatywny. Znajduje to wyraz w przewadze zła nad dobrem, w przewadze, uzyskanej przez zło w walce wewnętrznej człowieka. Konflikt wewnętrzny — to szukanie Boga w sobie. Triumf zła—to nie znalezienie Go w duszy. Szukanie Boga nie znaczy wcale usiłowania ubóstwienia siebie, uczynienia Boga — z siebie. Ubóstwienie siebie—to bałwochwalstwo i początek upadku człowieka. Konflikty wewnętrzne człowieka w pewnych epokach uzewnętrzniają się i występują jako fakty historyczne, pod postacią walk pomiędzy grupami społecznemi. Eksperyment sowiecki jest takim aktem bałwochwalstwa. Człowiek doszedł tu do ubóstwienia siebie w innych i siebie w dziele rąk swoich t.j. w technice. Narzędzie wyniósł do godności siły tworzącej, w kolektywie zgubił jednostkę.

Człowiek jednakże, a nie ludzkość jest twórcą rozwoju dziejowego. Tam, gdzie zabraknie człowieka, nie będzie rozwoju dziejowego i kultury. A gdzie człowiek, tam powstaje i problem Boga. Sowiety nie rozwiązały go, a poprostu odrzuciły problem Boga, temsamem odrzuciły człowieka i temsamem odcięły niejako możliwość sensownego rozwoju, poddając się pod władzę przypadkowi.

Myśl Bierdiajewa jest prosta i logiczna. W jego rozważaniach prawda, dotycząca objawiania się Boga w rozwoju dziejowym, nabiera nowych sił i staje się jasną, zrozumiałą i oczywistą. Myśl w chaosie zdarzeń znajduje właściwy punkt oparcia, stając u źródeł rozwoju dziejowego i u jego kresu zarazem.

MARJAN REUTT

ODCISK DŁONI

I [1])

GŁÓWNYM warunkiem powodzenia światowej polityki żydowskiej jest tajność jej zamierzeń i posunięć, do tajności zaś potrzeba zupełnej ze strony narodów rdzennych niewiedzy o żydach, albo wiedzy mylnej, a dla żydów przychylnej. Oba warunki wynikają z charakteru narodu żydowskiego, jako urodzonego pasorzyta, który dąży do panowania nad światem.

Od czasu pojawienia się żydów na rubieżach Egiptu starożytnego aż do wieku dwudziestego ery bieżącej, narody, przez żydostwo nawiedzane, nic istotnego o niem nie wiedziały. Tem się tłumaczy swoista historja ciągłego wędrowania żydów. Przyjmowani z zaufaniem i odtrącani ze wstrętem, stanowią wśród narodów odwieczny a zbyteczny zaczyn zepsucia i zamętu.

Ale już pierwsza połowa wieku dwudziestego, obok największej potęgi, do jakiej żydzi kiedykolwiek dojść zdołali, przynosi im groźne zapowiedzi klęski ostatecznej. Dwa wielkie narody Europy środkowej — Włosi i Niemcy (razem przeszło sto miljonów ludzi) wyzwalają się z pod ukrytego panowania żydów, a literatura o żydostwie rozwija się wszędzie z szybkością niebywałą.

Zdarzenia te godzą w sam rdzeń pasorzytniczego bytu żydów: przed całym światem odsłaniają istotę „narodu osobliwego", oraz środki i cele światowej jego polityki. A na domiar, jak to częściej w życiu, niż w romansach się zdarza, do historji wtrącił się przypadek i dał narodom do rąk mały ale jaskrawy dokument czysto żydowski, mianowicie słynne (pod mylną nazwą) „Protokuły mędrców Syjonu".

Dokument ów, jako nowożytny, jasny i zwięzły, do wyobraźni ogółu przemówił nadto romantyzmem tajemniczego wykradzenia go, co uczyniło zeń znakomity przeciwko żydom oręż propagandowy. Rzecz zrozumiała, że i żydzi, z kolei, w swojej walce obronnej „Protokuły" owe, jako wyjątkowo niebezpieczne, musieli wyodrębnić i osobną przeciwko nim wojnę poprowadzić.

Oto przyczyny, gwoli którym od chwili pojawienia się „Protokułów" żydzi ogłaszają je za falsyfikat, a teraz, gdzie mogą, tam przeciw wydawcom tej broszury procesy wytaczają sądowe i wielki temu rozgłos czynią. Przypuszczają, że tym sposobem uda się tu i ówdzie osiągnąć wyrok, potępiające broszurę, co ułatwiłoby im odpowiednią, a już we wszystkich krajach „rozproszenia" wszczętą, szeroką w tej sprawie akcję społeczną i... dyplomatyczną.

[1]) Dla sądu w Bernie, mającego obecnie rozstrzygać o autentyczności „Protokułów mędrców Syjonu", nieobojętnym materjałem są opinje, ustalone w kompetentnej publicystyce krajów europejskich. Dlatego zamieszczamy niniejszy artykuł, przeświadczeni, że zainteresuje on żywo naszych czytelników. — Red.

Na tem również tle toczy się obecnie, znany z doniesień prasy, taki właśnie proces sądowy w Bernie szwajcarskim. Jak w każdej swojej sprawie i rozprawie, tak i tu żydzi nagromadzili tyle kruczków, kłamstw i oszustw, że tak zgęstniony *fetor judaicus* może najtęższe głowy sędziowskie o kołowaciznę przyprawić. Nie wdając się jednak, narazie, w analizę całego tego sądowego szantażu żydowskiego (który sam, ubocznie, o prawdziwości „Protokułów" świadczy...), zaznaczę tylko, że sąd nasz przedewszystkiem na samej formie i treści broszury omawianej oprzeć winniśmy.

Z pośród wielu „faktów", dotyczących ukazania się „Protokułów", tylko jeden jest pewny, ten mianowicie, że w roku 1905 wydał je w Rosji w języku rosyjskim niejaki Sergjusz Nilus. Wszystkie inne „fakty" są domysłami, które jedynie żydom do gruntownego zmącenia sprawy się nadają. Wobec tego zbyteczni i nieodpowiedni na tej rozprawie sądowej są wszelkiego rodzaju z obu stron świadkowie i rzeczoznawcy, takich bowiem orzeczeń każda strona może przedstawić po tysiąc i każdy tysiąc może być w motywach wyroku uznany za wartościowy, albo za bezwartościowy, — zależnie od umysłu sędziego, który takim szantażem podejść siebie pozwoli.

Ze wszystkich możliwych w tej sprawie danych, faktów, świadków i rzeczoznawców jedyną pewnością jest samo istnienie broszury omawianej. Jak każde dzieło ducha ludzkiego, jest ona odciskiem ducha na podobieństwo odcisku dłoni w daktyloskopji, czyli odciskiem na biljony rąk jedynym i niepowtarzalnym. Wystarczy dokładne porównanie odcisku z charakterem środowisk o autorstwo podejrzanych, ażeby z bezwzględną pewnością ustalić tożsamość odcisku z dłonią, która go w „Protokułach" pozostawiła. Weźmy zatem do rąk broszurę samą i zbadajmy ją w formie i treści — z równobieżną uwagą śledczą i porównawczą.

W budowie swojej ogólnej, broszura nie posiada ani początku, ani zakończenia. Niema wątpliwości, że jest ona strzępem, wyrwanym z jakiejś większej całości. Bezpośrednio zaś przekonywa o tem następujące miejsce w broszurze, w toku rozważań o państwach się znajdujące:

„...ponieważ antysemityzm jest nam potrzebny dla rządzenia naszymi braćmi młodszymi. Wyjaśniać tego nie będę, bowiem było to już niejednokrotnie tematem konferencyj naszych".

Tymczasem poza temi słowami w całej broszurze niema więcej mowy o antysemityzmie. Stąd jasno wynika, że broszura zawiera tylko część konferencyj wykładowcy ze słuchaczami.

Niektóre rozdziały broszury zaczynają się na taką modłę:

„Dziś zaczynam od powtórzenia rzeczy już powiedzianej i proszę, byście pamiętali"... i t. d. [Albo:] „Dziś zajmiemy się programem finansowym..." i t. d. [Albo:] „Do tego, co powiedziałem na zebraniu poprzedniem, dodam jeszcze..." i t. d.

A wreszcie zauważmy, że forma stylowa w całym ciągu broszury jest typową formą zapisków, pisanych przez słuchaczów podczas wykładów szkolnych, oraz na kursach, odczytach i różnych przemówieniach publicznych.

Tych kilka uwag o formie broszury omawianej upoważnia do wniosków następujących:

Jak wynika z daty pierwszego wydania „Protokułów", a także z mimowolnych w treści wskazówek chronologicznych, jakiś myśliciel i wybitny działacz społeczny z pośród żydów, w miejscu niewiadomem (może w Szwajcarji, Francji lub Anglji), w ostatnich latach wieku dziewiętnastego, lub w pierwszych paru latach wieku dwudziestego, wobec pewnej ilości zaufanych słuchaczów żydowskich wygłosił szereg wykładów o swobodnej formie „konferencyj" (więc z zapytaniami i rozmowami) na temat tradycyjnie żydowskiej, a przez niego uzupełnionej i scalonej, metody w dążeniu żydów do opanowania świata.

Nazywam wykładowcę myślicielem i działaczem wybitnym, albowiem treść i sposób wykładów są głębokie i poważne, żaden zaś człowiek u swoich nieznany nie mógłby liczyć na długotrwałą uwagę zgromadzenia, które (zważywszy temat wykładów) musiało składać się z ludzi wykształconych, wyrobionych, zaufanych i w danem środowisku znanych.

Wnioski powyższe są bezwzględnie pewne. Nieodpowiedni jednak i nie znający się na sprawie wydawcy popełnili kilka błędów, podając za pewniki to, co było czczemi ich domysłami. Mianowicie: 1°, związano wygłoszenie „Protokułów" z pierwszym kongresem syjonistycznym, który odbył się w Bazylei w r. 1897, co jest nonsensem, bo takich konferencyj i w takiej formie nie wygłasza się ani na kongresach oficjalnych, ani obok nich w przeciągu trzech dni kongresowych. Prócz tego zaś, nikt nie może (i niema po temu potrzeby!) wskazać ścisłej daty ani miejsca tych konferencyj; 2°, dano broszurze mylny i śmieszny tytuł pompatyczny, podczas gdy ona zawiera prosty i skromny w formie ciąg wykładów jednego człowieka, który zapoznaje słuchaczów z programem, w danej sprawie przez siebie obmyślonym; 3°, związano broszurę z syjonizmem i odbudowaniem żydowskiej „siedziby narodowej" w Palestynie, podczas gdy w całej broszurze niema ani jednego słowa o Palestynie i syjonizmie. W broszurze jest mowa tylko o sposobach opanowania narodów świata przez naród żydowski, czyli wyłącznie o dążeniach imperjalizmu żydowskiego, ten zaś działa jako uzupełnienie syjonizmu, ale poza nawiasem Palestyny, w tak zwanych „krajach rozproszenia". Rzecz naturalna, że w wystąpieniach swoich i procesach sądowych żydzi w całej pełni korzystają z tych i tym podobnych błędów i domysłów wydawniczych, aby z nich pozorne dowody o fałszywości broszury wyplatać.

Przy takiem, jak tu naszkicowałem, a jedynie słusznem postawieniu sprawy, od strony formy i okoliczności zewnętrznych niema żadnych danych do podejrzewania w broszurze falsyfikatu. Raczej przeciwnie: logika skłania umysł ku uznaniu prawdziwości broszury. Jest bowiem rzeczą wysoce nieprawdopodobną, żeby fałszerz, należący (jak zgodnie utrzymują żydzi) do rosyjskiej ochrany carskiej, mógł powziąć pomysł nadania swemu dziełu formy tak naturalnej, niby przypadkiem postrzępionej, a zarazem poważnej i skromnej, a w formie tej — pomysł treści tak głębokiej i swoiście mądrej. Ze wszystkich oznak budowy, stylu, zwrotów i słów ulubionych w broszurze widnieje wyraźny odcisk dłoni, rasowo żydowskiej, a to, że broszura ukazała się w kształcie cząstkowym, jaknajmocniej prawdziwość jej potwierdza.

Co do treści „Protokułów", to jest ona tak do głębi i do ostatniego nerwu swojego przeniknięta duchem żydowskim, że o sfałszowaniu bro-

szury mowy być nie może. Zwróćmy, naprzykład, uwagę na program finansowy w broszurze zawarty. Ze wszystkich spraw poszczególnych jest on omówiony najobszerniej i z taką znajomością przedmiotu, na jaką mógłby się zdobyć tylko uczony ekonomista, a przytem utalentowany finansista, i jeszcze raz przytem — na Talmudzie wychowany żyd z dziada pradziada. Zestawmy spis zagadnień, które owa część finansowa broszury omawia: 1. Podatak postępowy. 2. Pobory postępowe w markach stemplowych. 3. Kasa funduszów państwa. 4. Papiery procentowe i zastój w obrocie. 5. Sprawozdania z budżetu. 6. Skasowanie reprezentacyj. 7. Zastój kapitałów. 8. Emisja pieniędzy. 9. Waluta złota. 10. Waluta oparta na wartości siły roboczej. 11. Budżet. 12. Pożyczki państwowe. 13. Serje jednoprocentowe. 14. Papiery przemysłowe. 15. Pożyczki wewnętrzne. 16. Passywa i podatki. 17. Konwersje. 18. Bankructwa. 19. Kasy oszczędności i renta. 20 Skasowanie giełd. 21. Taksowanie walorów przemysłowych.

Zastanówmy się tylko, czy domniemany fałszerz — ochrannik rosyjski, piszący jakoby tę broszurę na zamówienie swoich władz dla wywołania w Rosji pogromów żydowskich, mógłby poważną część swojego falsyfikatu poświęcić tak odległym i nudnym sprawom, jak wyższa polityka finansowa? A przedewszystkiem, czy podołałby bodaj jednemu z punktów powyżej przytoczonych? A w broszurze cały program finansowy potraktowany jest *con amore*, ze swobodą i trafnością najmądrzejszego bankiera. Tożsamość znanej powszechnie dłoni żydowskiej z odciskiem „finansowym" broszury jest aż nadto widoczna.

Ale i poza tą, tak swoiście i wyłącznie żydowską dziedziną pieniądza, wszystkie w broszurze poruszone sprawy polityczne, społeczne, gospodarcze, kulturalne i duchowe rozwijane są tu i rozwiązywane z przenikliwością i głębią umysłu genjalnego. Umysł autora „Protokułów" posiada wiele cech ciasnoty, jak to często u ludzi genjalnych się zdarza, ma charakter fantastyczny, a chwilami — apokaliptyczny, jest na wiele spraw ciemny, jak umysł talmudysty, duchowego świata „gojów" przez się wzgardzonych nie zna zupełnie, czasem naiwny jest, jak dziecko, lecz mimo wszystko jest to umysł genjalny. Rabiniczny, ale genjalny.

Otóż podrobienie wszystkich razem rysów takiego umysłu przez nie-żyda i nie-genjusza jest rzeczą niemożliwą. Broszurę omawianą mógł stworzyć tylko żyd i tylko żyd genjalny, a to tak samo, jak „Pana Tadeusza" mógł stworzyć tylko Polak i tylko wielki poeta. A czegoż więcej dla wiadomości ludzkiej potrzeba? Daty? Data wiadoma jest w przybliżeniu dostatecznem. Nazwiska? Zbyteczne... Homer jest pospolitą nazwą każdego w Grecji rapsoda. Któż tedy stworzył „Iljadę" i „Odysseję"?—Naród grecki. Kto obmyślił i w jedność zebrał omawiane tu wytyczne nowożytnego imperjalizmu żydowskiego? — Naród żydowski. To nam wystarcza.

Ale tu właśnie wybucha wrzawa niesamowita żydów w prasie i w sądzie berneńskim o to, że broszura godzi w „honor" narodu żydowskiego, bo jest „ohydna", „zbrodnicza" i t. p. Dziennik żydowski „Nasz Przegląd" opatruje broszurę tytułami w rodzaju „krwawy falsyfikat ochrany carskiej", „świadek" w procesie berneńskim, żyd, wybitny syjonista, dr. Chaim Weizman mówi, że „Protokuły te przypisują żydom niemoralne i nikczemne plany, które są w głębokiej sprzeczności z zasadami religji i ducha żydowskiego", a inny „świadek" żydowski, rabin dr. M. Ehrenpreis ze Sztokholmu, woła z teatralnym patosem: „Prawdziwe Protokuły żydowskie to Pięcioksiąg i Księga Proroków, które wpłynęły na ukształtowanie się obecnej cywilizacji".

Należy stwierdzić tu, że i w świętych księgach żydowskich znaleść można te same cechy ducha żydowskiego, co w owych „Protokułach". Nienawiść i pogarda względem wszystkich narodów, megalomanja narodowa, oszustwo, jako uświęcona we wszystkich poczynaniach metoda narodowa, oraz panowanie nad światem, jako marzenie i dążenie narodowe — oto cztery cechy żydów tam ujawnione. „Protokuły" są tylko dalszym ich ciągiem i rozwinięciem.

Dla braku miejsca nie mogą wersetów przytaczać, więc powołuję się na swój szkic p. t. „*Merulius lacrimans*" w Nr. 56 „Myśli Narodowej" z dn. 29 listopada 1931 r., gdzie wiele tych wersetów zgromadziłem. W szczególności proszę uwzględnić wersety następujące: 1 Mojż. XXVIII, 4 — 2 M. III, 21, 22 — 2 M. XXXIV, 12, 13 — 5 M. VII, 16, 17. 18 — 5 M. VII, 22, 23, 24 — 5 M. XI, 23, 24, 25 — 5 M. XII, 28, 29 — 5 M. XIX, 1 — 5 M. XXIII, 20 — Psalm II, 1 — 9 — Psalm LXXXIX, 4, 5 — Izajasz LX, 12 — Iz. LX, 16— Jeremjasz XXX, 11— Jerem. LI, 20.

A Talmud? Niechaj czytelnik zajrzy do znakomitej pracy Andrzeja Niemojewskiego p. t. „Dusza żydowska w zwierciadle Talmudu", wydanej w Warszawie w roku 1914. Do dziś dnia żydostwo nie umiało zaprzeczyć ani jednemu słowu tej książki, więc „zabija" ją milczeniem, a okoliczność ta jest najlepszem świadectwem prawdziwości twierdzeń i przytoczeń, w dziele Niemojewskiego zawartych. Otóż porównanie Talmudu (najświętszej księgi żydowskiej) z omawianą tu broszurą doprowadza do wniosku, że już nietylko żydzi berneńscy, ale wszyscy żydzi świata powinni wytoczyć olbrzymi proces wszystkim wydawcom Talmudu, jako „krwawego falsyfikatu", obrażającego „honor" żydowski. Odcisk dłoni w Talmudzie jest ten sam, co w „Protokułach", tylko o wiele brudniejszy i krwawszy. Zapewne dlatego rabin Ehrenpreis ze Sztokholmu wolał o Talmudzie przemilczeć...

Cała historja żydów pośród narodów europejskich, a w szczególności dzieje marranów w Hiszpanji i frankistów w Polsce, jak również współczesne i w pamięci wszystkich zaświeża obecne rewolucje, przez żydów robione i finansowane — w Rosji (1905 i 1917), w Niemczech (1918), na Węgrzech (1919), w Hiszpanji (1931), oraz traktaty pokojowe po wojnie światowej — wszystko to nadaje się jako znakomite zobrazowanie metod i dążeń, zawartych w „Protokułach". A głosy najwybitniejszych żydów współczesnych, które w słynnej książce „Światowa polityka żydowska" zgromadził Zbigniew Krasnowski, złożone razem, dają rysunek dłoni żydowskiej tak linja w linję pasujący do odcisku, uwiecznionego w „Protokułach", że ta jedna książka o prawdziwości omawianej tu broszury każdego przekonać może.

Zaznaczyć przytem trzeba, że „Światowa polityka żydowska" ukazała się przed rokiem, a do dziś dnia żydzi ani jednego w niej przytoczenia w wątpliwość nie podali. Jest to wystarczający

dowód sumienności wszystkich cytat i prawdziwości wszystkich zdarzeń, w tej książce tak pracowicie zebranych.

Poselstwo szwajcarskie w Polsce mogłoby przesłać sądowi berneńskiemu oba dzieła (Niemojewskiego i Krasnowskiego) i dołączyć jeszcze do nich niniejszy i następny zeszyty „Myśli Narodowej"...

Ale sąd w Bernie, o ile stoi na wysokości zadania, ma o wiele bliżej, bo tuż przed sobą, dłoń żywą, bliźniaczo podobną do odcisku dłoni w „Protokułach". Jest nią mianowicie ruchliwa i zgiełkliwa, zbiorowa dłoń wszystkich w tym procesie oskarżycieli, „świadków" i rzeczoznawców żydowskich. Dość byłoby złączyć w jedno wszystkie łgarstwa, fałsze, oszustwa i podstępy tej czerni bezczelnej, ażeby naocznie w syntetycznym symbolu ujrzeć twórcę „Protokułów" — naród żydowski.

Czy jednak sąd berneński zdobędzie się na to? Wątpliwość uzasadniona, bo i cały ten proces jest przecie niesłychaną w dziejach sądownictwa osobliwością. Spójrzmy bowiem: oskarżonymi są tu w gruncie rzeczy żydzi, bo to oni bronią się przed miażdżącą ich prawdą „Protokułów". Oskarżycielami także są żydzi, w imieniu całego narodu żydowskiego występujący. Świadkowie: także żydzi, ze wszystkich kątów Europy sprowadzeni. Rzeczoznawcami także są żydzi. A gdyby jeszcze stwierdzono publiczność, w dziewięciu dziesiątych żydowską i sprawozdawców prasy całego świata, przeważnie żydów, otrzymalibyśmy atmosferę mocno zgęszczoną!

Jeżeli sędzia nie jest żydem, ani masonem, a nie udusi się w maglu tej mykwy rytualnej, to cudowne ocalenie swoje będzie zawdzięczał chyba pancerzowi własnej *sanctae simplicitatis*.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

CZŁOWIEK TWÓRCĄ KRAJOBRAZU

ZARZĄDZENIE państwowe z wiosny 1934 roku przyniosło niezmiernie doniosłą ustawę o ochronie przyrody. Ustawa taka, wydana o kilkanaście lat wcześniej, ocaliłaby od zagłady wiele cennych wartości naszego kraju, ale i dziś jeszcze przysłuży się niemało w tym względzie. Nie wolno już będzie niszczyć bezmyślnie lub zbrodniczo przyrody w jej skarbach pamiątkowych, malowniczych i kulturalnych.

Ale z przyrodą i jej formami bytu jest ściśle związany — człowiek. Jak na pewnych gatunkach drzew lub roślin przebywają określone odmiany owadów, jak pewne obszary leśne lub gruntowe są terenem bytowania tych, a nie innych typów zwierzęcych, podobnież utworzyły się ściśle zespolone z sobą kompleksy życia roślinnego i ludzkiego. Jednym z takich przyrodzonych kompleksów jest osobliwy, polski organizm psycho-biologiczny, nie mający podobnych sobie w całej Europie — dwór wiejski i osoba zamieszkującego ten dwór szlachcica polskiego na kresach, dawniej Litwą zwanych. Ten żywy organizm nietylko nie został objęty państwową ustawą o ochronie przyrody, lecz wskutek warunków obecnych, nieraz celowo stwarzanych, zanika i ginie w oczach.

Kiedyż, po ustawie o ochronie przyrody, przyjdzie prawo o ochronie — człowieka i jego gniazda? Prawo o poszanowaniu i ochronie tych skarbów piękna fizycznego i duchowego, jakie przymnożyło i zgromadziło jego zrośnięcie z ziemią? Prawo o ochronie dworu naszego, tego szacownego tworu kilku stuleci ojczystej historji i kultury?

A ponieważ wołanie to — w warunkach dzisiejszych — jest oczywistym głosem wołającego na puszczy, więc tem sposobniejsza jest może chwila, by utrwalić w pamięci zarysy tego blaknącego obrazu, by zastanowić się, czem jest ten nasz rodzimy, starodawny, polsko-litewski dwór?

Sama etymologja wskazuje na odrębność pojęcia „dworu" od cudzoziemskiej posiadłości ziemskiej. Tamte wywodzą swe nazwy od zasady własności lub położenia wiejskiego *(Bien — Maison de campagne — Gut — Landhaus — Country house)*. Nawet rdzenna Polska ograniczyła i zubożyła pojęcie „dworu", rozległe i dekoratywne, nazywając tak sam tylko budynek mieszkalny, a miano szlacheckiej siedziby pomieszała z nazbyt ogólnem i rozwodnionem określeniem „wsi". Tylko u nas, na bezbrzeżnej historycznej Litwie, całe osiedle szlachcica, jego dom, zabudowania gospodarskie, ogrody, sady i zadrzewienia — wszystko to razem nazywało i nazywa się — dworem.

Dwór — to cały świat ziemianina. To jego dom i władanie, jego praca i wypoczynek, jego radość i chluba. Dwór, wielki czy mały, na stu włókach, czy na stu morgach — to jego udzielne królestwo. Król polski miał swój dwór w stolicy kraju, a szlachcic litewski miał dwór w swojej własnej stolicy, na swym dziedzicznym kawałku ziemi, przekazanym mu przez przodków. Żył w nim od kolebki do grobu, wrastał w niego, jak te lipy, co ocieniały jego domostwo i jak one, odwiecznością mocny i w ziemię sercem wkorzeniony, nadawał swoisty kształt i wygląd wszystkiemu, co go otaczało.

Dlatego to krajobrazu naszego, jak zresztą całego krajobrazu litewskiego w dawnem rozumieniu tego słowa, od Dźwiny i Berezyny po Wilję i Niemen, po Kowieńszczyznę, Grodzieńszczyznę i Suwalszczyznę niepodobna oddzielić od tych niezliczonych dworów, rozsianych zielonemi skupieniami po całej powierzchni kraju. Rzekłbym więcej: krajobraz nasz — to jest głównie i przedewszystkiem — dwór. Już zdaleka czuje się go, chociażby nie było nic widać, oprócz drzew. Już zdaleka sylweta dworu posiada własne znamiona w bryle i linjach, niepodobne do skupienia leśnego. Drzewa mogą być w obydwu te same, a jednak rozłożenie masy roślinnej będzie odmienne i oko wieśniaka zauważy tę różnicę już z odległości paru kilometrów. A właściwie nietyle zauważy, — ile wyczuje podświadomie, bo oczy wiejskie myślą same — bez udziału mózgu, z długiego nawyku idą automatycznie w dal, przenikają, odgadują krajobraz dookolny, ogarniają jego kontury pieszczotliwym przelotem lub spocznieniem, obcują ustawicznie z jego rozłożystością. Jak rybak wędką, wyławiają z przestrzeni dostrzeżenia drobne i powszednie, ale każde z nich ma swoje we-

wnętrzne znaczenie i wagę, każde oddźwiękiem przychylnym współbrzmi z jakąś struną duszy patrzącego. Więc oczy odgadną dwór po dalekim zarysie kilku drzew odrazu i nieomylnie. Odgadną nawet wtedy, gdy właściwego dworu już niema, gdy chwasty zarastają rumowiska budynków, gdy większość drzew padła pod siekierą, a reszta dożywa niepotrzebnego istnienia, — nad rozkolonizowanym obszarem dworskim o plugawie zniekształconem obliczu. Przyczyna tego, napozór fizyczna, leży w duchowych warunkach genezy dworu, w jego żywej, zielonej architektonice, stworzonej przez mądrą myśl, miłujące serce i umiejętne ręce. Zadrzewienie dworu nie wyrastało przypadkowo: tworzyły je trzy szacowne czynniki, działające w szeregu pokoleń i żywotów, w oparciu o mocną, pieczołowicie chowaną tradycję, spotęgowane trafnem wyzyskaniem naturalnego działania czasu i sił przyrody. Domowa tradycja estetyczna uczyła rzeźbić w gałęzistem i liściastem ciele roślinnem formy celowe i piękne: aleje i szpalery, ściany i zwieńczenia dachowe, kopuły i wieżyce, bryły i masy plastyczne; a wszystko związane harmonijnie z zabudowaniem mieszkalnem i gospodarskiem, stanowiące jego integralną część składową. Tło, otoczenie, rozplanowanie i połączenie szczegółów, zamknięcie całości ogólną sylwetą przestrzenną, boczną i górną — cała ta przedziwna kompozycja była ciosana i cyzelowana w zielonem tworzywie szlachecko-dworskiej architektury, tworzywie potężniejszem i odporniejszem, niż dzieła pojedyńczych generacyj. Nie dziw, że nabrała ona kształtów uświęconych, niemal niezniszczalnych, które przetrwały założycieli i ich czasy i nawet swemi biednemi resztkami przemawiają z niezawodną elokwencją. Dwór nie może nigdy zatracić swego oblicza, jak długo coś z niego istnieje, jak długo nie zostało wycięte ostatnie jego drzewo.

Dwór w krajobrazie jest sprawą najważniejszą, jakgdyby punktacją wytyczną na ślepej mapie kraju, jakgdyby rdzeniem rysunkowym jego powierzchni. Dwór — to ośrodek, w którym skupiają się i do którego biegną ze wszech stron gościńce, drogi, ścieżki i „ścianki", jak siatka żył i nerwów, zbiegających się w sercu i w mózgu człowieka. A pomiędzy drogami leżą kolorowe szachownice pól, wzorzyste dywany łąk i pastwisk, kępy gajów, leśne połacie i smugi. Od dworu do dworu droga prowadzi przez łany i sianożęcie, przez zagajniki, sośniaki i dąbrowy, a wszystkie one należą do jakiegoś dworu, który od stuleci wycisnął na nich swe piętno. Chłopskie wioski między niemi, mniej zaakcentowane w rysunku plastycznym, zaznaczają się w formach drugorzędnych, stanowiących jakby podmalowanie szczegółów tego wielkiego obrazu, którego motywem naczelnym jest siedziba szlachecka — polski dwór na tak zwanych obecnie „kresach"[1]).

Jeśli przyroda oddziaływa na człowieka w sposób decydujący, to równie niewątpliwe jest oddziaływanie człowieka na przyrodę nawzajem. W długiem, wiekowem ich współżyciu krajobraz nasz był kształtowany przez jego pana i władcę, przez szlachcica z białego dworu o kolumnowym ganku. Dzięki odrębnym tej szlachty cechom, gdzieindziej rzadko spotykanym, krajobraz zachował swe pierwotne i dostojne piękno w formie czystej, nieskażonej przez cywilizację materjalistyczną i techniczną.

Dzisiaj, gdy szlachetczyzna wiejska i dworska, jej tradycje i formy i całe życie odchodzą w przeszłość niepowrotną, stają się już tylko wspomnieniem historyczno-obyczajowem, dziś chwila to może najodpowiedniejsza, by jej zajrzeć w oczy.

Przypatrzmy się temu, który miał niegdyś prawo powiedzieć: „Polska — to ja".

Pomińmy uprzedzenia klasowe, które zaciemniają istotę rzeczy i utrudniają poznanie prawdy, a również nie chciejmy idealizować szlachcica-ziemianina i przyznawać mu same zalety. Ludzie są zawsze tylko ludźmi, a cechy charakterystyczne epoki, zarówno ujemne, jak dodatnie, odbijają się w każdej warstwie społecznej. Nie idzie tu zresztą o wizerunek pełny i dokumentarny stanu szlacheckiego, tylko o te jego rysy, które się złożyły na kształtującą symbjozę człowieka i przyrody. Poprzestańmy na wskazaniu właściwości odrębnych, a rzadkich, które się same narzucają uważniejszemu wzrokowi, na podkreśleniu tej osobliwej cechy ziemianina naszego, że był on człowiekiem najbardziej niezależnym na całym świecie cywilizowanym i, jednocząc najwyższą swobodę z największą prostotą, potrafił może najlepicj rozwiązać zagadnienie szczęścia, jednocześnie i sielskiego i królewskiego. Niema na świecie takiego mocarza, któryby mógł nie pozazdrościć doli szlacheckiej. Była ona oparta na niezależności materjalnej, wynikającej z posiadania własnej ziemi i na zdrowiu i pogodzie moralnej. A te zawdzięczał szlachcic pracy na ziemi i obcowaniu z przyrodą w prostocie i umiarkowaniu, jakiego uczy ona swoje dzieci, gdy żyją z nią w miłującem zjednoczeniu. Dwór każdy był odrębnym światem, wolnym i odosobnionym, jak królestwo — ale jego król był jednocześnie i pierwszym jego pracownikiem, odzianym w majestat dostatniej skromności. Nie było w nim nic z bogacza, który za złoto kupuje sobie nudną bezczynność, ani też nic z nędzarza, co przeklina jarzmo codziennej pracy, ponieważ nie ma w niej nic do zyskania ani do stracenia. Było to całkowite, iście monarsze zwierzchnictwo, wyższe nawet, bo nie skrępowane przez ceremonjały i racje stanu: wolność w swoim domu, swoboda pracy i wytchnienia w zaciszu domowego obyczaju i w rozmachu szlacheckiej fantazji na sto lub tysiąc morgów wokoło.

Ziemianin był jedynym prawdziwym „panem" na świecie, w myśl słów Kochanowskiego: „ten pan, zdaniem mojem, kto przestał na swojem". Był panem w całej prawdzie i poezji tego słowa, panem u siebie i dla samego siebie, panem swego domu i ziemi, swego chleba i mleka, swych wód i drzew, swego powietrza i słońca, panem kawałka cudownego Bożego świata, w którym wszystko, co żyło i rosło, jednoczyło się z człowiekiem w radosnej pieśni, śpiewanej na chwałę życia.

I nie było w tem „państwie" szlachcica przewagi uczuć niskich i gminnych, nie było bezserdecznego hołdowania korzyściom materjalnym. Nie jak pasorzytny przybłęda, wybierający źródło największego zarobku, osiadł on na ziemi i rządził jej dostatkami. Chlebnem ziarnem posiały go na

[1]) Nazwa ta jest irytująco nielogiczna i mogła urodzić się tylko w ciasnym mieszczańskim intelekcie, ograniczonym do widnokręgu warszawskich rogatek. Czy można nazywać kresami kraje, znacznie większe od ośrodka, który one otaczają? Czy możnaby nazwać Warszawę kresami Pragi, a Kraków — kresami Podgórza? Przecież Polska rdzenna bez tych lekceważonych „Kresów" byłyby kraikiem o rozmiarach geograficznych Belgji, a obszarze duchowym z pewnością nie dorównującym posiadanemu.

niej dzieje przedwieczne, leśnem nasieniem wraziły go w glebę wichry historji. A on rósł setkami pokoleń wzwyż i wgłąb — zakorzenił się w ziemi, którą swoją uczynił, krwią obrony i potem pracy. Stał się panem w najlepszem znaczeniu tego pojęcia, panem ziemi rodzącej, obfitej i pięknej. A takie państwo obudza uczucia prawe i dobre, od dumnej, ale szlachetnej niezależności do ludzkiej, serdecznej prostoty, do poczciwości, otwartej i gościnnej. Są to uczucia, które dać może jedynie tradycja i rasa, to wielkie słowo, zbyt często obecnie lekceważone w stosunku do ludzi, aczkolwiek bardzo poważnie traktowane w odniesieniu do zwierząt.

Uczucia te nie zdołałyby wyrosnąć w duszy kupca, handlarza, fachowego producenta rolnego, wymagały bowiem ścisłego związania z ziemią, życia poprostu jej sokami, miłowania ziemi nie dla jej płodów i korzyści, ale dla niej samej. Warunki bytu rozwinęły w szlachcicu, obok męskich cnót rycerskich, hojną i bezinteresowną gościnność, ponieważ dziedzicznie nie miał sposobności do nabycia uczuć przeciwnych, stanowiących istotę kupieckiego mieszczaństwa, a zaprzeczenie rycerskości. Rycerskość idzie w parze z podniosłością uczuć i szerokością gestu. Przez kilkaset lat szlachcic sam jeden bronił ojczyzny i odpierał jej wrogów. Nie brali w tem udziału ani chłop, ani mieszczanin, tem mniej niemiecki rzemieślnik-kupiec lub żydowski handlarz-pośrednik. Piersi i miecze szlacheckie były jedynym murem obronnym dawnej Polski przez całe stulecia. A wojny były częste, długie i okrutne. Nie dziw, że w chwilach błogosławionego pokoju wojownik i rycerz czuł się uprawnionym do przywileju nieskrępowanej wolności i do beztroskiego wczasu na ziemi i w domu, które zasłonił własnem ciałem, które obronił własną krwią. Nie miał już wtedy głowy i czasu na zapobiegliwe kupczenie mieszczańskie. Żył bujnie, szeroko, chociaż niewątpliwie jednostronnie. Mówi się zbyt pochopnie, że szlachta w XVIII w. zgubiła Polskę. Ale czemuż przemilcza się, że ta sama szlachta stwarzała Polskę w wiekach poprzednich, była jej głową, sercem, ręką i tarczą obronną, że przez stulecia była całą Polską, jej treścią, bytem i rozkwitaniem, że bez szlachty nie byłoby wcale Polski, tylko bezbronne, plemienne stado, skazane na wytępienie lub niewolę przez pierwszego z brzegu zaborcę.

Tutaj spoczywa klucz całej zagadki, przyczyna całej odrębności naszego ziemianina. Jest nią — przywiązanie do ziemi. Uczucie to dosłownie „przywiązało” go w sposób bezprzykładnie oddany i nierozerwalny do ziemi polskiej i własnej, stało się to tradycyjnem tłem jego losów, treścią jego życia, uprawnieniem jego władztwa. Kiedy gdzieindziej uważano ziemię za przedmiot handlu, za objekt zamiany na pieniądz dla zyskowniejszej jego lokaty, ziemianin litewski nie rozumiał poprostu życia poza gniazdem rodzinnem, pamiętającem dziesiątki pokoleń, a konieczność jego porzucenia, choćby dla równoważnika wartościowszego, przeżywał jako osobiste nieszczęście. Kto tak, jak on, potrafił przez cały wiek XIX przetrzymać ogniową próbę eksterminacyjnej polityki rosyjskiej, te wszystkie prześladowania, kontrybucje, zakazy, trwając niezłomnie na swej placówce, trzymając się jej całym wysiłkiem woli i ukochania, jak ten dąb nadświteski, palczastym uchwytem korzeni na życie i śmierć w rodzimą glebę wrośnięty?

A ponieważ światem, mimo wszelkie zaprzeczenia materjalizmu, kieruje i rządzi duch, którego najpełniejszą emanacją twórczą jest miłość, więc miłość ta nietylko kształtowała charakter i żywot ziemianina, lecz położyła swe niezgładzone piętno na krajobrazie obszarów, przez niego zamieszkanych. Piękno naszego krajobrazu — to uśmiech cichego, tkliwego oddania, z jakiem matka patrzy na swoje dziecko, to promienne spojrzenie bezgranicznej ufności, jakiem dziecko odpowiada matce.

Darząc ziemię tem spojrzeniem i uśmiechem, bezwiednie i mimowolnie, bez zamiaru i planu, jak wszystko, co przyrodzone, stał się ziemianin twórcą naszego krajobrazu. Dlatego to należało, chcąc mówić o ziemi, zacząć od człowieka.

Ziemianin siedział na swym gruncie nie dlatego, że to było wygodne i zyskowne, lecz dlatego, że tak czyniły szeregi jego antenatów, dlatego, że nie umiał i nie chciał żyć inaczej. Tamci ongi wyrąbywali mieczem granice Rzeczypospolitej, jemu już tylko pług pozostał z żelaznej spuścizny przodków. Więc tego dziedzictwa trzymał się oburącz w pracy i poświęceniu. A jak dla mężczyzny o sercu czystem jest tylko jedna ukochana kobieta na świecie i wszystkie inne dlań nie istnieją, podobnie nie istniała dla szlachcica żadna inna ziemia oprócz jego własnej. Ta była mu najmilsza i jedyna. Więc od tego obcowania każda grudka gleby, każdy szmat trawy, cały pejzaż okoliczny nabierał sentymentu i ciepła, stawał się symbolicznem odbiciem głębokiego uczucia. Nie jest to poetyczną metaforą. Na plastycznej powierzchni ziemi wyciskały się swoistą rzeźbą wszystkie cechy charakteru człowieka: szlachetna hojność, bezinteresownie życzliwa gościnność, podniosłość myślenia, szerokość gestu, hart wytrwania i prostota uczuć.

Szlachcic nie mógłby zepsuć krajobrazu kominem fabrycznym ani kolejką, najeżoną słupami, gdyż tych ulepszeń nie potrzebował i nie znał, albo znając, zcicha niemi gardził. Musiał natomiast zbudować dom prosty, ale wygodny, obszerny i skromnie dostojny, z wieńcami topoli, strzelających w niebo, jak świątynne wieżyce, ponieważ takie gniazdo było naturalną potrzebą jego bytowania, jak skorupa dla ślimaka, albo knieja dla zwierza. Obok domu wznosił w tym samym stylu, powściągliwie celowym, a wyrazistym, zabudowania gospodarskie, a wszystko otaczał gęstwiną roślinną. W ten sposób tworzył się typ dworu polskiego, dziwnie jednolity i skończony w swoim wyrazie. Do tego typu nigdy nie potrafiły zbliżyć się dwory, założone u nas przez Rosjan lub Niemców, które wyglądają obco i pretensjonalnie i kłócą się z pejzażem, zamiast się do niego przystosowywać. W tem budowaniu dworskiem odbiła się najwymowniej duchowość szlachcica, tworząca nawet bezwiedne, nieumyślne piękno. Świadczy o tem charakter pomieszczeń użytkowych, tych „świernów” i „imbarów”, „odryn” i „gumien”, stajen i obór, wszystkiego, co miało zamkniętą bryłę przestrzenną. Niemiecki zachód oddawna nauczył się sprowadzać praktycznie budynki gospodarskie do oszczędnych, bezkształtnych sześcianów, płasko krytych, lekkich, tanich i celowych. Folwark zagraniczny niewiele różni się od miejskich składów towarowych lub korpusów fabrycznych. Ale szlachcic litewski nie potrafiłby tak oszpecić swego dworu: nie pozwoliło mu na to jego poczucie wrodzone, niepraktyczne, ale pańskie i rycerskie. On

dba więcej o wygląd swej siedziby, niż o użyteczność jej części składowych. Dlatego wznosi każdy budynek na wzór swego domu: z wysokim dachem, kształtnie ściętym po bokach, z ozdobnie rzeźbionemi szczytami, z murowanemi filarami i narożnikami, z rzędem słupów, wspierających podcienia, z wzorzystym gzymsem, biegnącym dokoła okapu. Nadaje zabudowaniom podobieństwo do swego gniazda domowego, nadaje im formy, uświęcone przez bezwiedną, tradycyjną estetykę, kosztowne może i zbędne dla użyteczności, ale jakże potrzebne i konieczne dla oka i duszy! Buduje nie po kupiecku, lecz po szlachecku, po pańsku, bo nie umie i nie chce inaczej. Buduje tak aż do ostatnich czasów wielkiej wojny i w każdej pięknej bryle, murowanej lub drewnianej, zawiera i odzwierciadla cechy swej odrębnej duchowości. A dzięki temu, gdy oko z obrzydzeniem odwraca się od architektury folwarku pomorskiego, to u nas może ze spokojną rozkoszą spocząć na bryle, dachu, szczycie każdego budynku, który jest ozdobą pejzażu dworskiego, a nie jego zeszpeceniem. A przytem formy te mają najzdrowszy i jedyny słuszny punkt wyjścia, bo naszą staroświecką, chłopską chatę.

I oto na bezbrzeżnym widnokręgu wiejskim, polnym i leśnym, powstawały sklepione oazy, białością dworów zdala świecące; otulone w zarośla ogrodów i gajów, wiązały się wstęgami dróg, strzeżonych przez krzyże i kapliczki, wystrzelały gdzieniegdzie ku niebu kościelnemi wieżycami i tem wszystkiem nadawały powierzchni ziemi pewien charakterystyczny wygląd. A typ budowania dworskiego ustalił się w formach tak zdecydowanych, że wznoszono jego wzorem nietylko siedziby wiejskie, lecz i całe miasteczka, nie wyłączając karczem, sklepów, hal targowych i bóżnic żydowskich.

(D. c. n.) JAN BUŁHAK

ROZMOWA

ZAPADŁA kurtyna[1]). Ostatni akt widowiska. Pogaszono światła. Ktoś mocno chwycił mnie pod ramię. Poznałam go odrazu: Marchołt! Popatrzył mi przenikliwie wprost w oczy i powiedział: jestem!

Uwierzyłam, że to on, bo usłyszałam w jego słowach, a może w tem, co było poza niemi, głos zbliżającej się przyszłości, zapowiedź nowego człowieka.

— Żyjesz? — szepnęłam. — Nieprawdą było, że umarłeś...

Siadł przy mnie. Z niesamowitą siłą było utkwione we mnie jego spojrzenie — powiedział: Jest to zaledwie pierwsza zapowiedź. Niedługo przemówię wyraźniej. Będzie to koniec waszego ginącego świata. Idzie nowe życie...

— Posłuchaj, muszę zadać ci jedno pytanie. Czy ty będziesz miał władzę naprawdę coś zrobić? Przeskoczyłeś poprzez rampę teatralną i ze mną rozmawiasz... Wierzę w ciebie, lecz czy uwierzą inni? Oni w teatrze szukają rozrywki. Nie biorą cię na serjo. Oni nie wiedzą, że ty naprawdę istniejesz...

— Przekonają się o tem niedługo.

— Lecz reżyser? Czy pozostawi ci swobodę ruchów? Narzuca ci swoją wolę. Teatr? To nie jest życie... Ma swoje prawa. Jesteś w nim tylko bohaterem widowiska tragikomicznego. Twoja korona, berło, purpura — wszystko jest z papieru. Tylko dekoracja! Aktor! Nie człowiek!

— Zburzę, jeżeli będzie trzeba, te kulisy. Rozwalę je jednem uderzeniem pięści. Przez ten wyłom wpuszczę słońce, a zamiast dachu rozepnę nad głowami widzów prawdziwe niebo, wpuszczę powietrze, którem nareszcie można będzie odetchnąć pełną piersią...

— Jesteś buntownikiem? Rewolucjonistą?

— Tak, lecz nie z gatunku tych, którzy tasują dawne zasmarowane karty. Urządzić człowiekowi wygodny dom — to za mało. Chcę, aby wiedział przedtem, dokąd ma iść i jaki ten dom być powinien.

— Ty wiesz jaki?

— Trzeba, aby człowiek zrozmiał, że ma nieograniczoną władzę nad własnem życiem. Będzie ono takie, jakiem je zrobi. Niewzruszona jest w tem logika, może nawet matematyka. Świat nie jest i nie musi być zły. Splugawił życie sam człowiek przez własną opieszałość. Urąga Bogu.

— Lecz czy potrafisz przekonać człowieka, że tak jest?

— Nie potrzebuję go nawet przekonywać. Proces oczyszczenia ziarna od plew odbywa się coraz to szybciej, coraz nieomylniej. Odpadną wszyscy, którzy nie mają w sobie twórczych fermentów. Rozsypią się w proch. Pozostaną ci, co budują.

— Jakim ma być ten przyszły człowiek — budowniczy?

— Szermierzem jedynie realnej siły wszechświata: siły moralnej. Jeżeli zabraknie jej jako drożdży w cieście — żadne słodzenie, solenie, ani pieprzenie nie przywróci mu smaku: opadnie.

— Ta siła, o której mówisz, czem ona jest?

— Wolą, którą otrzymaliśmy, aby móc dzielić odpowiedzialność za losy świata z Tym, który go stworzył...

— Czy mógłbyś mi jeszcze powiedzieć, Marchołcie, co jest dobrem, a co złem?

— Dobrem jest wszystko, co świat zachowuje, rozszerza i wzbogaca. Złem wszystko, od czego świat się kurczy, maleje. Możnaby to sprawdzić sposobem ściśle doświadczalnym. Dobrem jest możność pełnego duchowego wyżycia z myślą o całości...

— Czy możemy wiedzieć, jaka jest główna myśl tej całości? Jej dążenie?

— Niema potrzeby szukać jej daleko, po za sobą... Mamy ją w sercu.

— Pożegnał się: — Przepraszam — powiada — słyszę sygnał, muszę biec na scenę... Jutro znowu gram Marchołta...

— Grasz? Wciąż jeszcze tylko grasz?...

MARJA KASPROWICZOWA

Harenda, w październiku 1934 r.

---

[1]) Autorka głośnego „Dziennika" (3 tomy), w którym literatura zyskała doskonale wykonany wizerunek duchowy wielkiego poety, była teraz obecna na premjerze „Marchołta" w teatrze lwowskim. Wizję wzruszenia, jakiego doznała w tej artystycznej rozmowie z mężem, skreśliła w pięknym szkicu, który tu podajemy.

NA WIDOWNI

Kultura jako wynalazek bolszewicki. — Jak się robi kulturę bez udziału duszy. — Przewartościowywać wartości stabilizowane. — Likwidować stare źródła. — Zaczynać od końca. — Szary człowiek i arcydzieła. — Ermitaż, Chicago i Warszawa. — Przestrogi.

BARDZO miło jest oderwać się na chwilkę od swego ubogiego, pełnego niedomagań kulturalnych środowiska i odetchnąć głęboko gdzieś w raju. Taką chwilę zawdzięczam „Tygodnikowi Ilustrowanemu", który mnie wprowadził (nr. 46) w świat wielkiej kultury bolszewickiej. Opowiada się tam, ile to Rosja zyskała w dziedzinie kultury artystycznej na tem, że usunęła cara z pałacu Zimowego. Słynna galerja sztuki „Ermitaż", mająca połączenie z owym pałacem, przed wojną zajmowała sal tylko 70, obecnie, po wyzyskaniu pałacu Zimowego, liczy sal 227. Podobnie rozrosły się galerja Tretjakowska oraz muzeum Historyczne w Moskwie. Wszystko, co prasa donosiła, o wyprzedaży zagranicę lepszych dzieł i upadku muzeów, to przesadne lub kłamliwe plotki. Sprzedano to i owo, ale naogół

„zbiory Ermitażu rozrosły się wielokrotnie, a co jeszcze ważniejsze, służba społeczna oraz znaczenie kulturalne tego muzeum, jak zresztą i wszystkich innych w Z.S.R.R. wyolbrzymiały wprost nieprawdopodobnie. O tem już świadczą gołe cyfry frekwencji Ermitażu: 350 000 w r. 1933 zwiedzających wobec 60.358 w r. 1917. Muzeum Historyczne w Moskwie, którego ponure sale zwiedzało przed wojną około 1.000 osób na rok, obecnie doprowadziło swoją frekwencję do 200.000".

Hasło kultury: popularyzacja. W Ermitażu 171 urzędników gorliwie pracuje, a całe zastępy „konsultantów" pouczają niesłychanie karną, grzeczną i żądną wiedzy publiczność. „Bez przewrotu rewolucyjnego" — powiada polski publicysta — „conajmniej 90% tych ludzi nigdyby nie oglądało Ermitażu". Stąd wniosek, że do kultury społeczeństwo może dojść tylko w drodze rewolucji bolszewickiej. Ale czy to jest prawda?

Pierwsza refleksja, jaką budzi powyższy artykuł, jest ta: Co się dzieje w naszej prasie? Istniejąca od 75 lat ilustracja polska, mająca za sobą doniedawna nienaganną przeszłość patrjotyczną, służy dzisiaj jawnie propagandzie bolszewickiej. Nawet, gdyby podane przez nią cyfry nie były skłamane, podziwiać należy tupet, z jakim się niemi częstuje oświeconą publiczność polską. Jakiż to zanik skrupułu intelektualnego!

Wiedzieliśmy przecież w Warszawie doniedawna, co jest kultura, jaką w niej rolę gra wielka sztuka, znamy lud rosyjski i wiemy, że inne ma troski i potrzeby w głowie, niż obcowanie z Van Dyckiem, czy Rembrandtem. Owe pielgrzymki do Pałacu Zimowego lub do muzeum Historycznego, to są obchody zaduszkowe po dawnych dziejach. Lud rosyjski z nabożnym pietyzmem ogląda wnętrze pałacu carów i dawne pamiątki historyczne. W miarę wymierania tradycyj carskich ciekawość będzie coraz mniejsza, a dystans tego ludu od Rafaela powiększy się, nie zmniejszy. Barbarzyństwo będzie coraz cięższe. Oczywiście, tęsknoty swojej do przeszłości ludność sowiecka wyjawiać nie może, przytem policyjnie pędzona jest do muzeów, bo tak nakazał w testamencie Lenin, doktryner marksizmu.

A co do zbiorów. Cóż zostało z „kultury" w Rosji, jeśli nie muzea? Są to dzisiaj nie jakieś organizmy żywej kultury, lecz uporządkowane składy dawnym bogactw Rosji, zebranych w drodze rewolucyjnego rabunku z pałaców i świątyń. Zostały tylko koszary na całej przestrzeni kraju i kina w murach cerkwi. Wszystko, co było drogocennego i ocalało od zniszczenia lub kradzieży, znalazło się w muzeach, które są teraz cmentarzami „kultury" rosyjskiej. Ponury jest, zgrozę budzący widok tych tłumów zwiedzających, które pragną zobaczyć jeszcze raz ikony z cerkwi zabrane, bez możności okazania im czci w pokłonach. Publicysta polski będzie nam prawił duby smalone, że to popularyzacja sztuki, „upowszechnianie odczuwania (co za psychologja!) wrażeń estetycznych natury wyższej, uogólnianie wiadomości z historji sztuki, budzenie potrzeby emocyj artystycznych w jaknajszerszych warstwach ludności"... Kończy się zaś te kłamstwa wezwaniem do polskich działaczy:

„W naszych czasach powszechnej tendencji ku przewartościowywaniu wszelkich najwięcej ustabilizowanych wartości, należy zwrócić baczną uwagę na akcję wciągnięcia najszerszych rzesz ludowych w zasięg promieniowania kulturalnego muzeów sowieckich".

Bagatela! Kultura polska — w zasięgu sowieckim!

— — — — — — — — — — — — —

Przytoczony wyżej model publicystyki polskiej z r. 1934 budzi w nas refleksje nie tyle na temat losów kultury rosyjskiej (bo cóż my jej poradzimy?), ile na temat losów polskiej kultury. Bo mają to być te nasze czasy okresem „przewartościowywania wszelkich najwięcej ustabilizowanych wartości". I to właśnie stało się hasłem obecnej reformacji w dziedzinie kultury, hasłem, głoszonem przez ludzi, nie zdających sobie sprawy, że właśnie w tych „najwięcej ustabilizowanych" wartościach kryje się cała tajemnica początków i rozwoju kultury duchowej.

Gdyby się taka papuga jedna i druga zastanowić umiała, co kryje w sobie żydowski żargon: „przewartościowywanie najwięcej ustabilizowanych wartości", toby się może przeraziła. Zrozumiałaby, że tu chodzi o postawowe czynniki twórcze ducha, które składały się na ideał człowieka „wiecznego", tworzącego wartości wieczne. Teraz wieczność — to „stabilizacja" a niema stabilizacji, gdzie rewolucja domaga się ciągłego awansu.

Prostacy są od uproszczania; dla nich ideałem mechaniki życia jest przychodzić do gotowego, od końca, od tego, co kto inny wytworzył. Ale jak się to tworzy, o to go głowa nie boli. Od tego są jacyś cudowni „spece", od tego byli dawni burżuje. Cóż to jest bogactwo narodowe? To pieniądz. Niema ich — rozbić kasę. Niema kultury? Burżuje ją przywłaszczyły; zabrać im zbiory, zrobić muzea, oddać „*wsiem, wsiem*".

— No pięknie, ale skoro takie wartościowe są stare arcydzieła, to co mamy przewantościowywać?

— Parszywe były źródła twórczości: religijne, narodowe, burżuazyjne. Te źródła trzeba zasypać raz na zawsze. Teraz są czasy wielkich rurociągów. Nie źródełka jakieś w duszyczkach, lecz porządne krany w murach żelbetonowych. „Piatiletka" jedna mi wystarczy, to druga.

— Nie wystarczy i trzecia. Kultura dawna była dziełem organicznego rozwoju narodowych cywilizacyj. Czemże zastąpić psychologję?

— Materjalizm kulturalny i to przewidział. Niema dziś psychologji, jest fizjologja. Wychowanie kulturalne równe jest wychowaniu fizycznemu.

Niema już tęsknot metafizycznych, wszystko może być zastąpione racjonalną gospodarką planową. Naród już został przewartościowany; jest państwo. To wystarczy.

Kwestja więc po bolszewicku stoi tak. Przyszłość kultury jest w ręku państwa. Co z nią się stanie, to przyszłość pokaże; na razie sprawa nagła: jak zniszczyć dawne procesy duchowe twórczości cywilizacyjnej, jako przestarzałe i niebezpieczne, bo oddające suwerenność duchową narodowi. Chodzi więc narazie o to, jak niszczyć starą kulturę. Trzy są punkty główne, w które godzić trzeba: 1) religja, a więc bezbożnictwo i walka z wpływem Kościoła, 2) idea osobowości narodu, a więc walka z nacjonalizmem, 3) rodzina i moralność płciowa, a więc reforma prawa małżeńskiego, propaganda „życia świadomego".

Na tem tle staje się zrozumiała w swej grozie rola żydów. Propaganda zasad marksizmu jest walką o miejsce dla żydów. Oni są czynnikiem sterylizacji duchowej narodów. Dlatego oni sami wyjęci są z pod propagandy; nikt do ich religji i nacjonalizmu wtrącać się nie ma prawa. Gdyby jemioła miała dar usypiania czujności starych drzew i układała plany ich „kultury", nie mogłaby nic piekielniejszego wymyśleć.

Gdy widzicie, że gdzieś poza bolszewją ta sama akcja sterylizacji społeczeństwa się powtarza, to nie pomawiajcie ludzi zą tę akcję odpowiedzialnych o ideologję bolszewicką. Rezultaty będą podobne, ale może to być również bolszewizm mimowolny ludzi, którzy mieli nieostrożność posiłkowania się w planach swoich pomocą żydów. Nigdy nie wiadomo, do czego dojdzie człowiek, pochłonięty jedynie taktyką w obronie złej sytuacji. Kto wejdzie na drogę walki z żywiołem narodowym, temu na rękę jest akcja bezbożnicka, antykościelna, propaganda, osłabiająca podstawy rodziny i obyczajów. Nurtowanie ducha żydowskiego w cywilizacji europejskiej jest starsze i ogólniejsze od bolszewizmu, korzysta ono z każdego dwuznacznego położenia, w jakiem naród się znajdzie.

— — — — — — — — — — — —

Lenin, jako konstruktor nowej filozofji życia, rozumiał, że po wysterylizowaniu społeczeństwa z elementarnych popędów twórczych (metafizycznej natury) będzie czegoś brakowało rozwojowi cywilizacji. Obmyślił tedy środek mechaniczny: wytwarzania przez „speców" najkosztowniejszych kwiatów cywilizacji i przymusowego narzucania tych wzorów barbarzyństwu. W tym też duchu w przedsionku Ermitażu petersburskiego wypisano jako hasło słowa Lenina: „Sztuka jest własnością ludu. Masy ludowe powinny ją rozumieć i kochać".

„Kryzys kultury? O pięknoduchy, jakże się mylicie i jakże nie widzicie nic poza zblazowaną garstką owych dziesięciu tysięcy od góry... Ale te miljony od dołu wogóle nie doszły wcale, nie zbliżyły się nawet, do źródła, które dla tamtych jest wyschłe i martwe".

To są słowa wyjęte z artykułu „Kur. Porannego" z ostatnich dni, organu bardzo miarodajnego sfer, operujących dziś w Polsce hasłami ideologicznemi. Jak wiadomo, sprawy stoją dzisiaj według kursu „szarego człowieka".

Kiedy inaugurowano ten kurs czysto taktyczny, mający na widoku najbliższe wybory, użyto wyrazu „prosty naród". Ponieważ jednak opinja polska uznała ten zwrot za rusycyzm, wzięto widocznie sprawę na obrady Akademji Literatury, która pomyślana została jako sanatorjum urzędowego języka polskiego, i tam ustalono nazwę: „szary człowiek". Otóż teraz w organie Akademika Rzymowskiego cytowany przezemnie artykuł woła wielkim głosem o kulturę dla szarego człowieka:

„Trzeba wszystkich przyjąć, wszystkich obdzielić w miarę sił i możności. Wszystkim dać tę choćby tylko jałmużnę piękna i kultury, a w marzeniu niespełnionem pragnąć najbardziej szczodrego obdarzenia mas, nakarmienia wszystkich bez wyjątku"...

„Wsiech, wsiech". Taka ma być według „Kur. Por." polityka kultury mianowanego prezydenta m. Warszawy, p. Starzyńskiego—oczywiście „w marzeniu niespełnionem", bo w zależności od stanu finansów miasta. W marzeniu tem wysuwa się na czoło myśl „postawienia programu wychowania kulturalnego na równi z wychowaniem fizycznem, które obecnie wysunięte jest bezsprzecznie na plan najpierwszy", a potem myśl wytworzenia systemu „Izb kultury" na równi z izbami rzemieślniczemi, handlowemi i t. p.

Bardzo charakterystyczne jest dla tych naszych czasów, szukających efektownego hasła dnia, jak łatwo nasuwają się im gotowe formuły ze wschodu, a następnie charakterystyczny jest ten sposób podsuwania, jako wynalazku i nowinki, rzeczy, które były powszednim chlebem cywilizowanego społeczeństwa polskiego. Nad czemże pracowały pokolenia całe w Polsce, jak nie nad ludem, tylko pracowały trochę logiczniej, bo od podstaw moralnych. Naiwnością jest branie rzeczy od końca, od tego, na czem twórczość kończy. Ale jak się dorobić takiego twórcy, jak np. Kasprowicz, gdy się szaremu człowiekowi da w szkole nauczyciela żyda, na to żadna dzisiejsza „izba kultury" środka nie znajdzie. Jakże trudny bowiem do zrealizowania jest ideał zrównania wychowania duchowego z wychowaniem fizycznem! W Ameryce ludność pod tym względem zrównała się i to na poziomie wyższym niż nasz przeciętny. A jednak cóż się teraz stało w Chicago! Oto przebogatą wystawę kultury, otworzoną uroczyście pod hasłem „sto lat postępu", szary człowiek splądrował doszczętnie, zburzył i rozkradł, dając dowód, że jednak fizycznie lepiej jest wytrenowany, niż duchowo. 300.000 ludzi siłą zdobyło teren wystawy i dokonało swego dzieła.

Obawiam się, że cała kampanja kultury, z nieszczerych pobudek, bez dreszczu twórczego, jeno w widokach taktyki politycznej poczęta, nie tylko nie przyniesie pożytku, ale przeciwnie zniszczy ideowe podstawy powolnie dokonywającego się w kulturze mas postępu. Wtedy jak w Chicago, ten zostanie na placu, kto silniejszy fizycznie. W kulturze najważniejszą rzeczą jest organiczność rozwoju według zasady: wszystko jest z ducha i dla ducha. O izbach kultury pomówić należałoby osobno. Projektodawcom wileńskim, czerpiącym natchnienia u źródeł miarodajnych, łamie się głos od łezki nad dolą inteligencji, nie mającej opieki państwowej. Jest to znowu taktyka, mająca na celu opanowanie pewnej garstki sił twórczych. Jej niezależność nie daje spokoju genjuszowi planowej gospodarki. I znowu wzory ze wschodu.

Bardzo przykro jest stwierdzać na każdym kroku załganie, nie mające żadnych szans opamiętania. Do opamiętania bowiem w sprawach dobra publicznego potrzebne są dwie rzeczy: rozsądek i sumienie. A tych nie widać.

ZYGMUNT WASILEWSKI

OD WYDAWNICTWA

W ROKU przyszłym, — na który prenumeratę teraz otwieramy, — upływa 15 lat istnienia „MYŚLI NARODOWEJ", a 10 lat od czasu, jak przekształciliśmy ją na organ, poświęcony kulturze twórczości polskiej, dając pismu obecną postać. Całość dotąd wydana tworzy w 17 tomach pokaźne dzieło zbiorowe, w którem paruset pisarzy starszych i młodszych notowało ruchy i zdobycze myśli polskiej. Każdy badacz tego okresu dziejów Polski będzie musiał do roczników „Myśli Narodowej" pilnie zaglądać, aby się dowiedzieć, jak na poszczególne wypadki i na całość narzucających się zagadnień reagowała umysłowość rdzennie polska.

Pracę tę śledził z uwagą i z sympatją znaczny poczet wyborowej inteligencji polskiej, dającej swoim udziałem w prenumeracie podstawę wydawnictwu. Nie brakło wśród niej dostojników Kościoła i najwybitniejszych przedstawicieli wszystkich warstw społeczeństwa. Była to nietylko pomoc materjalna, nietylko sens istnienia pisma, ale także bezcenny zasiłek moralny, za który wydawnictwo wielką winno wdzięczność swoim odbiorcom.

Oceniono w piśmie naszem charakter pracy, traktującej rzeczy serjo z myślą, aby słowo drukowane było z ducha swego prawdziwe (rzetelne), ku prawdzie dążyło i przynosiło pożytek — zarówno czytającym, jak piszącym. I piszącym; gdzież bowiem ostrzyć się ma myśl publicystyczna, jak nie na niwie współpracy krytycznej z życiem bieżącem? To też pomimo ciężkich warunków, których nie rokowaliśmy myśli polskiej przed dziesięciu laty, szeregi pracowników nie przerzedziły się, przybyło jedynie trochę pseudonimów...

Nie możemy się też uskarżać na ubytek czytelników, pomimo że kryzys ekonomiczny i warunki polityczne poczyniły w Obozie Narodowym znaczne spustoszenia. Otrzymywaliśmy wiele obszernych listów, tłumaczących nagłem zubożeniem niemożność abonowania. Ratowano się jednak wynalazkiem składkowej (sąsiedzkiej) prenumeraty, co straty poniekąd wyrównywało.

Istnieje też sposób niesienia pomocy pismu przez namawianie ludzi zasobniejszych, aby czytali i prenumerowali „Myśl Narodową". O taką propagandę usilnie prosimy przyjaciół. W tym celu rozsyłamy pod koniec roku numery okazowe; za nadsyłanie adresów bardzo będziemy wdzięczni.

*

Prosimy Sz. Czytelników o wczesne zamawianie „MYŚLI NARODOWEJ" na r. 1935, abyśmy mogli zawczasu ustalić nakład noworoczny.

Warunki prenumeraty podane są na ostatniej stronie numeru. Do numeru obecnego dołączamy w tym celu przekazy pocztowe.

GŁOSY

TAK SIĘ JAKOŚ ZŁOŻYŁO, że właśnie na historycznym Placu Saskim, tradycyjnem miejscu rewij wojskowych, ośrodku skupiającym szereg najważniejszych instytucyj związanych z armją, miejscu, gdzie leżą zwłoki Nieznanego Żołnierza i stoi pomnik uosobienia cnót rycerskich — księcia Józefa Poniatowskiego, rozłożyły swój kram „Wiadomości Literackie". Poczęte w prądzie, któremu się tak dziwił w swoim „Snobizmie i Postępie" Stefan Żeromski, zdobyły z miejsca monopol na sprawy, związane z zagadnieniami literackiemi, by porósłszy potem w pierze, z arogancją i tupetem wiadomego pochodzenia przerzucić swe zainteresowania na walkę z nacjonalizmem i propagandą tego wszystkiego, co ma się mu przeciwstawić, a więc: komunizmu, pacyfizmu, krańcowego liberalizmu i wreszcie równie krańcowego... świadomego wyżycia się, aż do utraty zdolności produkowania „mięsa dla armat".

Żerując na płyciutkim snobizmie, potrafiły się wcisnąć wszędzie, ofiarując swój sposób myślenia tym, którym lenistwo, niewątpliwy przejaw „życia ułatwionego", nie pozwoliło myśleć samodzielnie. Wciągnęły w grono swoich współpracowników ludzi i rasą i temperamentem, i instynktem i kulturą różnych od tej atmosfery, która panuje w bramie z placu Saskiego i jej ubikacjach (*café* IPS, „Ziemiańska" i t. p.). Ciesząc się najpełniejszem zaufaniem i poparciem t. zw. sfer „miarodajnych", co, zetknąwszy się siłą faktu z zagadnieniami kulturalnemi, o których nie wypadało im tak już zupełnie nic nie wiedzieć, a którym „Wiadomości" znakomicie ułatwiły sytuację, rosły z tygodnia na tydzień w swym tupecie, aż się posunęły do głośnego dziś utworu Uniłowskiego, omawiającego sposób życia żołnierza w naszej armji. Artykuł ten rozreklamowano specjalną wystawą, przyciągającą przechodnia do okna kramu, mieszczącego się w gmachu pobudowanym przy wydatnej pomocy państwa i otwartego w dniu imienin ministra spraw wojskowych.

Ale się wreszcie miarka przebrała. Posypały się rozkazy, zakazujące prenumerowania i czytania „Wiadomości Literackich" w wojsku, posypały się masowe wymówienia prenumeraty, zamieszczane demonstracyjnie w „Polsce Zbrojnej". Wymówienia te powiedziały bardzo dużo, pokazały jak rozpowszechnionem pismem wśród sfer wojskowych był perjodyk żydowski i czem karmił się nasz korpus oficerski przez tyle lat. Nie przypuszczaliśmy nawet, że kuchnia jego była aż tak koszerna...

Nic też dziwnego, że spostrzeżenie pewnego dna istotnego jej smaku wywołało reakcję pełną męskiego i w samej głębi instynktu narodowego poczętego oburzenia.

Oburzenie to jest dobitnem i radującem wszystkich świadectwem zdrowia moralnego naszej armji.

NAUKA i LITERATURA

INICJATYWA DO NAŚLADOWANIA

ODRODZENIE katolicyzmu na Węgrzech, datujące się od czasu biskupa Prohászki, pogłębia się i czyni coraz większe postępy. Ostatnio mamy w tej dziedzinie do zanotowania bardzo ciekawy i pouczający fakt, jakim jest zorganizowanie w Ostrzyhomiu letniego uniwersytetu katolickiego.

Piękną tę inicjatywę, mającą na celu postęp prawdziwie katolickiej nauki i zorganizowanie sił intelektualnych katolickich, podjął parę lat temu książę prymas węgierski, arcybiskup ostrzyhomski, Jego Eminencja ksiądz kardynał Serédi, i po porozumieniu się z akcją katolicką i dłuższych pracach przygotowawczych, w których wziął udział znany historyk, wielki uczony, prof. Juljusz Szekfü, zorganizowano już tych wakacyj wykłady, które zgromadziły wielką liczbę słuchaczy.

Kościół nie boi się wiedzy, — przeciwnie, prawdziwa wiedza nieuchronnie prowadzi do Boga i uznania Jego Bóstwa. Tą myślą ogarnięty, uniwersytet ostrzyhomski pragnie przedstawić swoim słuchaczom ostatnie wyniki nauki w najrozmaitszych jej dziedzinach, by, pogłębiwszy wszechstronnie ich wykształcenie, pogłębić tem samem ich światopogląd katolicki. W tej swojej pracy pragnie uniwersytet naprawić braki dzisiejszego sposobu edukacji. Dzisiejsze bowiem wyższe studja, coraz bardziej zróżnicowane i specjalne, nie sprzyjają wytwarzaniu się duchów uniwersalistycznych — tworzą one raczej ciasnych specjalistów, znających doskonale jeden tylko przedmiot. Stąd jednak brak zdolności do syntezy, a skoro wszystkie nauki zachodzą na siebie, a za każdą kryje się konieczność światopoglądu i potrzeba uszeregowania ich wszystkich w myśl jakiejś ogólniejszej filozofji, więc synteza jest konieczną; w braku jej rodzi się zgubny chaos ideowy. To też tę właśnie katolicką, uniwersalistyczną syntezę pragnie dać swoim słuchaczom uniwersytet ostrzyhomski.

Pomyślany jest on jako uzupełnienie świeckich uniwersytetów, ich dalszy ciąg ideowy. Zdobycze nauki konfrontuje się tu z wymaganiami filozofji katolickiej; omawia się przedewszystkiem te problemy, które dla niewtajemniczonych przedstawiają największe trudności, a których rozstrzygnięcia najwięcej domaga się chwila obecna. Tak więc głównym tematem tegorocznych konferencyj były biologja, etnologja i eugenika. Wykłady rozdzielono w ten sposób, że pierwszy tydzień zajął ogólny wstęp do biologji, krótki zarys jej nauk specjalnych, zwłaszcza histologji i anatomji komórkowej. To był podkład materjalny jakby, dodano więc mu zakończenie ideologiczne — prelekcję o eugenice z punktu widzenia katolicyzmu i prawa karnego. Drugi tydzień poświęcono nauce o dziedziczności, tak aktualnej ze względu na rasizm, i zahaczającej o kwestje poprzednie sprawie wzajemnego stosunku jednostki i społeczeństwa. Trzeci tydzień zajęła znowu rzecz specjalna — pochodzenie człowieka. Jak widać z tego zestawienia, profesorowie mieli zadanie bardzo trudne, — trzeba było zamknąć w czterech, czy pięciu wykładach to, co zwykle omawiano przez semestr, a w tym nieprawdopodobnym skrócie dać jednak obraz zupełny i to rzucony na tło szersze filozoficznych uzasadnień. Oprócz tych najciekawszych i najważniejszych konferencyj, przedmiotem wykładów były i inne nauki, zwłaszcza uwzględniono szeroko humanistykę i sztukę. Całość wykładów ma ukazać się w druku, a w ten sposób uniwersytet swą działalnością obejmie nietylko swych bezpośrednich słuchaczy, ale także całą katolicką inteligencję kraju.

W zakończeniu dodam, że byłoby wielce pożądane zorganizowanie czegoś podobnego u nas. Nie brak przecież chyba sił po temu, a upowszechnienia wiedzy prawdziwie katolickiej bardzo nam potrzeba. Miejmy więc nadzieję, że za przykładem ostrzyhomskiego powstanie i u nas letni uniwersytet katolicki w Gnieźnie, tej kolebce naszego chrześcijaństwa. K. S. F.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Docent uniwersytetu warszawskiego Konrad Górski, jak się dowiadujemy, powołany został na katedrę historji literatury polskiej w uniwersytecie im. Batorego w Wilnie na miejsce po prof. Kazimierzu Kolbuszewskim, który obejmuje katedrę historji literatury polskiej we Lwowie po prof. Wilhelmie Bruchalskim, odchodzącym na emeryturę.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Inteligencja polska, świadomie katolicka, odczuwa w okresie powojennym wyraźną potrzebę pogłębienia swej wiedzy religijnej. Niewątpliwie wpłynęła na to ożywiona działalność naszego duchowieństwa, organizującego zjazdy różnych stowarzyszeń religijnych, kongresy, tygodnie liturgiczne i t. d.

Jednak daleko jeszcze przeciętnemu katolikowi polskiemu do pełni światopoglądu chrześcijańskiego. W rozmowach, przemówieniach i piśmiennictwie spotykamy się nieraz z taką nieznajomością prawd wiary i takim chaosem wyobrażeń, że konsekwentny katolik z Zachodu stanąłby jak wryty. Pochodzi to stąd, że inteligencja polska, w samokształceniu swojem, nie wprowadziła zwyczaju planowej lektury religijnej, poprzestając w zakresie religji na wiadomościach, zaczerpniętych ze szkoły średniej, które nie mogą być wystarczające dla człowieka dorosłego, chociażby dlatego, że pragnie on pogłębienia źródłowego wszelkiej wiedzy.

Ta luka w wykształceniu religijnem wypełniana bywa wszelkiego rodzaju wiedzą tajemną, jak spirytyzm, okultyzm, albo sekciarstwem.

Niedorozwój w dziedzinie religijnej sprawia też upadek wiary, bo krytycyzm człowieka dorosłego przerasta poziom wyobrażeń religijnych z okresu młodzieńczego.

Dlatego z radością witamy każdą książkę, dającą orjentację w rzeczach wiary.

Nakładem księgarni św. Wojciecha wyszedł „Katechizm katolicki dla osób dorosłych, pragnących zdobyć pełniejszą znajomość nauki katolickiej". Autorem jego jest zmarły w tym miesiącu kardynał Piotr Gasparri. Przekładu z łacińskiego dokonał ks. Jan Korzonkiewicz.

Katechizm składa się z dwóch części: z wykładu wiary i z dodatków źródłowych, zawierających wypisy z aktów soboru watykańskiego, trydenckiego, lugduńskiego, laterańskiego, oraz wypisy z dekretów Świętej Kongregacji Sakramentów i wyjątki z dzieł Ojców świętych. Te źródłowe dane stanowią większą część katechizmu i zawierają niezmiernie ciekawe oświetlenia różnych prawd wiary.

Katechizm niniejszy powinien się znaleźć w każdym domu katolickim dla pogłębienia jego świadomości religijnej. (J. G.).

*

Powieść Antoniego Kawczyńskiego „Mężczyźni dokoła Eweliny" (Wyd. Polskie, Poznań) wywiera wrażenie dziwnej rozbieżności. Przedstawia sferę międzynarodowego przemysłu, jego rekinów i ofiary, życie wielkich hoteli, jachtów, nadmorskich plaż i zbytkownych przyjęć, które urodą i wdziękiem zdobi piękna żona króla stali i elektryczności. Autor doskonale wyczuwa atmosferę salonu kosmopolitycznego i łatwo obraca się w tej atmosferze, jak również łatwo, z temperamentem rutynowanego reżysera, operuje akcją w kierunku sensacji. Akcja ta snuje się na coraz innem tle zagranicy, Turcji, Rumunji, Austrji, Anglji, i mknie szybciej, niż bieg luksusowych pociągów i samolotów. Jest i w Polsce, bo obok Eweliny, dominującą postacią powieści jest młody Polak, włóczęga i desperat, aż od ostatecznego zwątpienia i katastrofy ratuje go szczęśliwa miłość. Powieść sensacyjna, nieledwie kryminalna, o efektach i właściwych sensacji powikłaniach, wnosi niespodziewanie szczere wartości uczucia i artyzmu. (A. W.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Tom ósmy „Kajetów" („*Mes Cahiers*") Maurycego Barrès'a, obejmujący okres od 1909 — 1911 roku, wskrzesza epizody walki, jaką znakomity pisarz podjął w obronie francuskiej tradycji katolickiej. Są tu b. ciekawe rozmowy, jakie autor prowadził z A. Briand'em, ówczesnym prezesem ministrów, tegoż charakterystyka, zarówno jak Jaurès'a i in. wybitnych polityków, poza tem parę znamiennych uwag o Verlaine'ie i t. p. (W. J.)

*

Miłośnikom Balzac'a polecamy książkę pani Zofji Korwin-Piotrowskiej pt. „*Balzac et le monde slave*", w której autorka zajmuje się głównie dziejami stosunku wielkiego pisarza z p. Eweliną z Rzewuskich Hańską, którą poślubił na parę miesięcy przed swoim zgonem. Autorka, na podstawie obfitego materjału informacyjnego, dotychczas mniej znanego badaczom Balzac'a, odtwarza środowisko ukraińskie p. Hańskiej, pobyt twórcy „Komedji ludzkiej" w Wierzchowni i t. p. Książka ta rzuca światło na stosunki Balzac'a z Polską i Rosją. (W. J.)

*

Dzieje znów innej pary głośnych kochanków, mianowicie średniowiecznych (XII wiek) Abelarda i Heloizy, przed-

stawia w książce *„Héloise, l'amante et l'abbesse"*, znany pisarz katolicki, Emil Baumann. Książka rozwiewa nieco legendę ustaloną, zwłaszcza, gdy chodzi o sławnego scholastyka średniowiecznego, który występuje tu raczej jako dbały o swoją sławę i powodzenie karjerowicz, niż jako wzniosły kochanek. Pełne eurudycji studjum E. Baumanna jest zarazem głębokiem wniknięciem w duszę żywych ludzi — średniowiecznego mistrza i, olśnionej jego wiedzą oraz umysłowością, jego adeptki. (W. J)

*

Problem spółek akcyjnych i sposobu ich organizacji nabiera coraz większej aktualności w związku z dokonywającą się przemianą poglądów na podstawowe zagadnienia ustroju gospodarczego. W tych warunkach bardzo pożyteczna i interesująca jest książka d-ra André Perceron p. t. *„Lois actuelles et propos récents en matiére de sociétés par actions (Allemagne, Angleterre, Italie)"*. Paris Rousseau et Cie Editeurs, 1933, p. 571. (J. P.)

MUZYKA

OSTATNI WIECZÓR orkiestry filharmonicznej w sali Konserwatorjum zawierał pierwszą symfonję Strawińskiego, koncert *f-moll* Chopina i „Rapsodję hiszpańską" Ravela. Zdanie o wartości koncertu chopinowskiego jest jednolite, nie ulegające najmniejszym nawet wahnięciom. Co innego, jeśli zestawimy dwa utwory współczesnych nam kompozytorów. Jakże trudno jest nam odróżnić w nich wartości trwałe, wieczne, od tych, które, gdy stracimy ich smak, stają się czasami poprostu nie do zniesienia! To też klasyfikacje żyjących twórców mają wiele z doraźnego wrażenia. A jednak można i nawet należy wygłaszać o nich zdecydowane zdania. Niechaj czas osądzi trafność spostrzeżeń. Dlatego też w zestawieniu Ravela ze Strawińskim twierdzę: pierwszy z nich jest przejawem ogromnego talentu, przepojonego bardzo mocno kulturą francuską, pełnym prawdziwego kunsztu w użyciu środków (niechaj przykładem będzie świetna doprawdy jego instrumentacja), drugi jest jednak niewątpliwym przykładem genjuszu, o wartościach, nie będących tylko najlepszem odbiciem współczesności.

Strawiński to jedna z najdziwniejszych postaci. Mimo polskiego pochodzenia, jest kompozytorem zdecydowanie i dobitnie rosyjskim. Nie należy powodować się fałszywą ambicją i pochodzenie to rozdmuchiwać do fałszywie wielkiego znaczenia. A jednak, czy nie w tem tkwi owa tajemnica, której nie wszyscy mogą pojąć, że po takich kompozycjach, jakie napisał w czasach współpracy z baletem Diagilewa, nastąpiły utwory bliskie Bachowi, Pergolesi'emu, Scarlatti'emu?...

Żałować należy, że jakaś niezrozumiała bojaźń odgradza nas od poznania twórczości tego okresu. Doprawdy, trudno jest wytłumaczyć wyrzeczenie się czegoś tak zgóry, w sposób nie tyle zdecydowany, co uparty. A może to tylko oznaka bezładu i braku jakiejkolwiek linji programowej naszych instytucyj muzycznych?

Przykład tylko jednego koncertu otwiera całe mnóstwo zagadnień, dyktowanych prawdziwą troską o naszą kulturę muzyczną, której tak duże posiadamy tradycje.

Orkiestrę w piątek prowadził Walerjan Bierdiajew, z dużą wnikliwością i dozą prawdziwego odczucia. Zdawało się nieraz, iż ten sam temperament, który był podnietą i motorem tworzenia, przelewał się przez osobę dyrygenta, ażeby przejawić się pełnym blaskiem orkiestry. Bierdiajew, prowadzący symfonję Strawińskiego, to szczera prawda, pozbawiona jakiejkolwiek pozy, czy owego przykrego naciągania do interpretacji z nieprawdziwego wydarzenia, o podkładzie wybitnie i jedynie intelektualnym.

Przypominają się słowa właśnie wykonywanego w piątek Ravela, który kiedyś, pisząc o twórczości Chopina, powiedział: „Dotąd muzykę łączono z dziedziną serca: niefortunni interpretatorzy muzyki chopinowskiej zwrócili się do sfery ozumu... A przecież rozum najmniej dopomódz może do opanowania żywiołu muzycznego!"

Słusznie. Mogliśmy się o tem przekonać po grze jednego z takich niefortunnych interpretatorów, jakim był ostatnio wykonawca koncertu fortepianowego *f-moll*, Imre Ungar. Niema o czem pisać; jedno wielkie nieporozumienie.

W. NARUSZ

FILM

CASINO: „Tajemnica małej Shirley" reż. Harry Lachmann. Nie pisałbym o tym filmie, gdyby nie dwie jego zalety. Po pierwsze: jest to utwór, do pewnego stopnia, sensacyjny, a bez niemiłego posmaku filmowych „bujd" kryminalnych. Po drugie: dzięki pewnemu pomysłowi, który tu zastosowano, może mimowoli zmierza ku zagadnieniom i efektom, o jakich reżyser zapewne wcale nie myślał. Dla wyjaśnienia, o co mi chodzi, muszę naszkicować treść filmu. Jest to historja byłego więźnia, który po odbyciu kary wszedł na uczciwą drogę: pracuje, ma kochającą żonę, córeczkę, 6-letniego, rozkosznego brzdąca — słowem czuje się szczęśliwy. Trzeba trafu, że jego dawny kolega z więzienia okrada jego chlebodawcę. Ścigany przez policję, oddaje ukradzioną kolję pereł spotkanej naszej małej. Ta, dla zabawy, wsuwa je do kieszeni, nic o tem nie wiedzącemu, ojcu. Teraz się wszystko zaczyna. Zjawia się dureń-detektyw, który nie ma żadnych istotnych poszlak, ale, kanalja, chce szantażować byłego więźnia, następując mu ciągle na pięty. Co będzie, gdy znajdzie perły u niego? Nikt nie uwierzy, że to dziecko dostało je na ulicy.

Sceny, gdy wszystko zaczyna się kręcić wokół tych nieszczęsnych pereł, gdy ojciec za wszelką cenę chce się ich pozbyć, a mała ciągle przynosi je i demonstruje, w najbardziej niebezpieczny sposób — należą do najwięcej frapujących. Traktując rzecz głębiej, odczuwamy jakgdyby, że niewinne i beztroskie dziecko urasta niemal do roli ślepego i złowrogiego *fatum*; staje się sprężyną wszystkiego, swemi czynnościami, sama nie wiedząc o tem, sieje popłoch, prowadzi swego ojca ku zgubie. (Oczywiście reżyser w tą stronę filmu nie poprowadził, tak iż możliwości podobnego sensu notujemy raczej na marginesie).

Mała Shirley—to rozkoszne i pełne wdzięku dziecko; atmosfera liryzmu, która ją otacza, urok, który z niej promieniuje, bardzo dobrze jest skontrastowany z nastrojem scen innych. Czasem efekt tych kontrastów jest tak dobry i świeży, że nas zaskakuje i reakcja nasza staje się nowa i skomplikowana. Np., gdy mała siada okrakiem na pojmanym już wkońcu prawdziwym opryszku, by mu przeciąć więzy i manipuluje wielkim, ostrym nożem (powiedział jej, że to zabawa), ten obrazek trochę nas śmieszy. Ale zaraz orjentujemy się, że to wcale właściwie nie jest śmieszne.

Nowa, sześcioletnia aktoreczka, Shirley Temple, gra znakomicie i jest urocza.

KANDYD

NOWE KSIĄŻKI

Kneblewski W. Ks. U źródeł świętej rzeki. Szkice z podróży po Palestynie. Warsz (1934). S. 191

Antonowicz Michajło. Józef Gerres, wistun nimeckoj ednosti. Z peredmowoju Dm. Doncowa. Lwów 1934. S. 64.

Morstin Luwik Hieronim. Rzeczpospolita poetów. Komedja satyryczna w 3 aktach. Kraków 1934.

Przegląd Filozoficzny. Roczn. 37, zesz. II Warsz.

Gaertner Henryk. Gramatyka współczesnego języka polskiego. Cz. III, I. Słowotwórstwo. 1934. Książ. Atlas.

Słoński Stanisław. Historja języka polskiego w zarysie, 1934. Książ. Atlas. S. 176.

Wiesenberg Leon. List otwarty do kół decydujących na polu literackiem i teatralnem w Polsce o naprawieniu krzywdy. Kraków, paźdz. 1934. S. 16.

Autor książki o Norwidzie składa niniejszem podziękowanie wszystkim, którzy, nadsyłając prenumeratę, umożliwili to wydawnictwo, i zawiadamia, że książka już jest rozesłana pocztą pod zwykłą opaską. Uprasza przytem o powiadomienie Administracji „Myśli Narodowej" w wypadku, gdyby przesyłka do rąk nie doszła.

Z. WASILEWSKI

OFENSYWA

ARMJA A I.K.C.

„Największy wybór Pań i Panów ma Biuro Banotowa, Cieszyn". (I.K.C. nr. 300).

WALKA z krakowskim koncernem I. K. C. jest tak trudna, jak walka z rakiem. Co czas jakiś, gdzieś, ktoś, odkrywa definitywne metody leczenia raka i znów okazuje się, że i te nic nie pomagają i chorzy umierają, choć niby wyleczeni. Tak samo do walki z koncernem krakowskim, co czas jakiś zrywa się ktoś, pisze, atakuje, wojuje, poczem wytaczają mu proces, który wygrywa lub częściej przegrywa, daje za wygraną i wycofuje się z obiegu. Sprawa cała przedstawia się beznadziejnie. Koncern popiera i proteguje 80% wyższej administracji państwowej, to jest głównie tak zwane „Żołędzie" (powieść Wandy Dobaczewskiej z Wilna), w Poznaniu zwani „galicjakami z kongresówy", w Katowicach „górale". Dalej popiera biurokracja. Dalej i Małopolska Zachodnia. Wreszcie mniejszość decydująca, czyli czynnik nadrzędny, czyli żydzi. Od czasu do czasu w momentach krytycznych, także niestety i duchowieństwo. Mimo bowiem zakazu księdza Metropolity Sapiehy, cały szereg wybitnych jednostek z kleru krakowskiego jak: ks. Kruszyński, ks. Niezgoda, ks. Piwowarczyk, współpracują w tym koncernie a ostatnio, już całkiem otwarcie wziął koncern w obronę ksiądz Kneblewski z Nieszawy, wyraźnie pisząc:

„my, „felietoniści w sutannie", widzimy w „IKC" najpopularniejsze pismo codzienne, odpowiadające wszelkim potrzebom chwili, ujmujące życie wszechstronnie i nietuzinkowo, z rozmachem i wpływem na opinję w kraju i zagranicą..."

Jeżeli tu dodamy, że głównym syndykiem czy obrońcą sądowym I.K.C. jest mecenas Wasserberger w Warszawie, sprawa cała przedstawia się jasno i prosto: koncern jest *rocher de bronze*, twierdza nie do zdobycia (Verdun), cytadela nie do wysadzenia, jest tem, czem *Tammany Hall* w Nowym Yorku. Zwłaszcza, że w obronie I. K. C. i „krwawej prasy", wystąpił swego czasu (czerwiec 1932 r.) w dwu artykułach kolejno i taki potentat jak pan Samuel Hirschhorn w „Naszym Przeglądzie". To też słusznie i normalnie poczyna sobie nadal „Ilustrowany Kreuger Codzienny" [1]) gwiżdżąc i fiszując sobie wszelkie ataki i kampanje, robiąc nadal swoje po swojemu, dając nadal znane inseraty i „rozbudowując organizacyjnie" swojego „Detektywa", to jest poradnika dla przestępców (*vademecum* dla zbrodniarzy) i rozszerzając agendy „Tempa Dnia" to jest Detektywa na codzień...

W ostatnich czasach jednakże koncern krakowski nieco wpadł. Wpadł na pomysł kampanji ze zdemoralizowaniem erotycznem młodzieży krakowskiej... Otchłań zepsucia i gangrena. Ta dziewczyna to, ta tamto, studenci tacy a tacy, akademicy. No i kilka pieprznych i pikantnych szczegułów defloranckich i skandalów z rozdzieraniem szat...

To już wreszcie „oburzyło" sanacyjną prasę. Przypominano sobie Gorgonową..., Szenkirzyka, Bobrzeckich, Maliszów, Garncarzównę... „Czarną Rękę" w Pszczynie, Karwata z Rybników i różnych innych morderców, fałszerzy, bandytów, powołujących się dla obrony na lekturę „Tajnego Detektywa".

I wystąpiły przeciw „Ilustrowanemu Kreugerowi Codziennemu", równocześnie „Gazeta Polska" delikatnie, oględnie, patetycznie, wytwornie monitorsko, kurtuazyjnie, ostrożnie, dyplomatycznie, dyskretnie, w rubryce „Niedyskrecje", gdzie często w polemikach z prasą uczciwą, narodową, katolicką, umiarkowaną, czytało się polemiki pisane tonem gangsternosko-cambriolerskim...

„Czy z faktu, że w mieście, którego dotyczą informacje „I.K.C.", stwierdzono wśród uczennic szkolnych trzy wypadki chorób wenerycznych i jeden wypadek zajścia w ciążę, można wysnuć wniosek, jakoby wśród uczennic szkół polskich panowała epidemja prostytucji? Zdaje się, że sama możliwość podobnego przypuszczenia byłaby zbyt potworna, by nią się w sposób poważny zajmować. I to bez względu na to, czy fakty, przez „I.K.C." podane, są prawdziwe".

Natomiast mocno, odważnie, twardo, uczciwie, prosto z mostu, po żołniersku, po wojskowemu, bez cackania się i obwijania w watę frazesów kurtuazyjnych wystąpiła „Polska Zbrojna".

Tytuł: „Zaraza".

Tekst: „Ale... w tej samej oficynie drukarskiej w której „Ilustr. Kurjer Codzienny" złożył tłustemi czcionkami swój akt oskarżenia, tydzień w tydzień wychodzi na świat inne pismo... tysiące, dziesiątki tysięcy egzemplarzy „Tajnego Detektywa", opuszcza tę oficynę i rozpoczyna wędrówkę z pod Wawelu po całej Polsce. „Kuchennemi schodami" do izdebki szwaczki, do pokoiku, w którym na peryferjach miasta spędza długie wieczory po pracy robotnik fabryczny, w miasteczku kresowem do ludzi, których szarzyznę życia okrasza fascynująca lektura „Tajnego Detektywa" — no i tych dziesiątków tysięcy dziewcząt i chłopców w wieku szkolnym, w okresie specjalnej pobudliwości erotycznej, specjalnego zainteresowania dla trzęsawisk i „sensacyj" życia współczesnego... I cóż tym niedorostkom, temu uczniowi ze szkoły zawodowej, tej wewnętrznym niepokojem trawionej dziewczynce ukazuje lektura kryminalno-detektywistyczna, „literatura", balansująca na pograniczu zbrodni i rozwydzenia seksualnego? Czego uczy umysły bezkrytyczne, a sfascynowane niezwykłością przeżyć „bohaterów" i „bohaterek" tych opowieści i relacyj?...

Wystarczy niekiedy jeden zeszyt takiego „pedagoga" grzechu i sensacji, by zniweczyć w duszy młodzieńczej wszystko, co w długich latach pracy rodzicielskiej i szkolnej nagromadzono, by zdeprawować ucznia lub uczennicę i sprowadzić na drogę zła.

I dlatego ozdrowienie dusz młodzieży trzeba zacząć od tego, aby usunąć atmosferę trujących oparów, aby uniemożliwić działanie lektury kryminalno-erotecznej na młode latorosie. Człowieka, chorego na gruźlicę płuc, nie uzdrowimy, jeśli mu nie damy czystej atmosfery, a każemy być wśród brudu i stęchlizny".

Kończy „Polska Zbrojna" swoje świetne *Qous Ego!* wezwaniem do usunięcia „cuchnącej bajory deprawacji"... z „mętnych źródeł kryminalno - erotycznej literatury wypływające". Wzywaliśmy do tego od lat dziesięciu.

Może jednak ten głos wojska polskiego zaważy coś i otworzy miarodajnym czynnikom oczy na działalność najpopularniejszego pisma codziennego, „ujmującego życie wszechstronnie i nie tuzinkowo".

ADOLF NOWACZYŃSKI

[1]) „Robotnik" z czerwca r. 1931, pisał co następuje:

„Ale czem „Kurjerek" wytłumaczy rzecz następującą: Gdy jesienią 1930 r. ówczesny gabinet dobijał targu z Kreugerem o pożyczkę zapałczaną, „I.K.C." tranzakcję tę dość ostro krytykował. Gdy później Rząd przedłożył Sejmowi projekt ustawy w sprawie tej pożyczki, pokazało się, że „I.K.C." należycie był poinformowany w całej sprawie, bo pożyczka istotnie była dla Polski (i jest) niekorzystna. A jednak — tenże sam „Kurjerek", jakkolwiek zarzuty jego zgadzały się z rzeczywistością, zaczął nagle cały ten „interes" chwalić! Po pewnym czasie jeszcze raz na pożyczkę—jak wyraziła się pewna osoba — „warknął", a potem się uspokoił, pożyczka okazała się „korzystna" dla Polski! Czy ta zmiana nastąpiła na rozkaz z góry, czy też z jakiegoś innego „głębszego" powodu, tego nie wiemy. Tylko czytelnicy „Kurjerka", którzy z początku uważali umowę z Kreugerem za złą, trochę się później dziwowali".

NA MARGINESIE

Pewien oportunista, zapytany, co jest bolączką jego życia obecnego, zwierzył się poufnie:

— Najcięższym warunkiem utrzymania się na powierzchni jest lawirowanie, aby mnie przypadkiem ktoś nie zobaczył, że rozmawiam z narodowcem. Nie mogę nigdy zaręczyć, czy osoba, z którą rozmawiam, nie ma opinji człowieka, myślącego niezależnie i czy ktoś, co się mieni moim przyjacielem, zobaczywszy mnie rozmawiającego, nie zrobi doniesienia. Unikam tedy ludzi, wykreśliłem się z resursy, boję się pójść do kawiarni, bo nuż kto się przysiądzie i skompromituje mnie. Z tego też powodu nie chodzę do teatru. Jakiż to przymus trzeba sobie zadawać, żeby na wszelki wypadek mieć na pogotowiu coś złego do powiedzenia o każdym z obozu narodowego. Ileż to trzeba wymyślać kłamstw, oszczerstw i konceptów, aby utrwalić opinję o sobie, że nic mnie z tym obozem nie łączy. Wyrzekłem się pism niezależnych, czytuję jakieś potwornie cyniczne brukowce. Najbezpieczniej czuję się w towarzystwie żydów, bo mnie nikt nie posądzi o sympatje narodowe.

— Czyż istotnie Polacy są tak źli i ulegli?

— Oni nie są może tak źli, ani nie przymus jest przyczyną główną. Ludzie się boją siebie wzajemnie, to jest wyścig małoduszności. Wiem to po sobie.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM